№ 16. Warszawa, dnia 4 (16) Kwietnia 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2. rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ZNOWU ZOLA.

Sąd kasacyjny we Francyi w d. 2 kwietnia zniósł nietylko wyrok, ale i samo powództwo w procesie wytoczonym Zoli przez ministra wojny o obrazę honoru sądu wojskowego, który uniewinnił był Esterhazego, a pośrednio i honoru samej armii francuskiej. Przestępstwa tego dopuścić się miał Zola w liście z d. 13 stycznia do prezydenta rzeczpospolitej. Postanowienie sądu było naganą daną rządowi, w nim zaś głównie działającemu, ministrowi wojny, gen. Billotowi, iż nad wykonywaniem praw postawiony, praw tych nie znał, a chcąc odbić romansopisarzowi uprowadzoną przezeń sprawiedliwość, na niewłaściwą drogę się zapędził. Zbłądziła również i sama magistratura, prokurator i sąd: nie powinni byli przyjmować niewłaściwego powództwa. Wszystkie te błędy teraz naprawione będą; wmyśl kasacyi już nie minister wojny, ale pierwszy trybunał wojskowy w Paryżu, ten sam, który uniewinnił Esterhazego, w wielką sobotę, z wielką tajemniczością postanowił skargę wytoczyć, rzeczywiście już dotychczas ją wytoczył, a administracya sprawiedliwości tak się pospieszyła, że wiemy już, gdzie i kiedy odbędzie się nowy proces: w Wersalu d. 20 maja — przed sądem przysięgłych.

Prawdopodobnie Zola, jak za pierwszym, tak i za drugim razem dostanie się na kowadło. Sam on podobno już teraz zobojętniał na los własnej sprawy; poprzestaje na tej zdobyczy, jaką mu dało, mimo ciągłego tamowania jawności i prawdy, samo badanie sądowe, przez sąd kasacyjny w d. 2 kwietnia wraz z powództwem unieważnione. Zadowolenie takie przecież trwałem nie będzie: nowy proces, mając już materyał dowodowy pozyskany w pierwszym, może tylko dorobkiem własnym pomnożyć kapitał moralny wrzekomego przestępcy, zwiększyć sumę faktów, dających przeświadczenie, że jeśli za ową zasłoną, ustawicznie zapuszczaną na przeszłość, mogą być tajemnice państwowe, których polityka tknąć nie pozwala, to ukrywać się za nią muszą także i sprawy nieczyste, które znowu egoizm, instynkt zachowawczy osób działających na zawsze przed ramieniem sprawiedliwości, przed oczyma Francyi i Europy ukryć-by pragnął. Nowe postępowanie sądowe i osobom i pobudkom i rzeczom większą nada przejrzystość. Okoliczność ta musi stanowić zachętę dla człowieka idei; a raz jej uległszy, Zola odda się już z właściwym sobie temperamentem i wytrwałością — nowej swej obronie.

Przybywa mu do tej obrony pomoc w nowych wyjaśnieniach, danych przez jakiegoś „Dyplomatę“ w *Siècle*'u paryskim. „Dyplomata“ datował je z Bernu, stolicy Szwajcaryi, w samym końcu marca. Wszystko, co mówi, zwraca się przeciwko Esterhazemu, zwalniając Dreyfusa. Nie o to zwolnienie zresztą w danym wypadku chodzić powinno ludziom, odczuwającym w sobie drgnienia sprawiedliwości. Może być Dreyfus winnym, ale dlaczego Esterhazy ma za niewinnego uchodzić, dlaczego władze wojskowe we Francyi lękają się prawdy więcej, niż dyplomacya, do większej przecież czułości na niebezpieczeństwa wszelkich ujawnień powołana? To, co przynosi „dyplomata,“ jest tak obciążającem, że gdyby w głowach i sercach wojskowych wszystko było w porządku, już-by dotychczas, od końca marca, Esterhazy stał pod sądem. Dość tylko poznać treść wyjaśnień berneńskich.

W r. 1892 wojskowym *attaché* ambasady niemieckiej w Paryży został major Schwarzkoppen. Ten, nie opowiedziawszy się zwierzchnikowi swemu, hr. Munsterowi, zawiązał niezwłocznie stosunki z Esterhazym, od r. 1876 w sztabie generalnym. Do r. 1894 otrzymał Niemiec od Francuza przeszło 160 wskazówek i dokumentów większej i mniejszej wagi, dotyczących urządzeń wojskowych francuskich. Wykaz tych owoców zdrady pochwycono w końcu października 1894 r. Jest to słynny *bordereau*.

Na początku listopada 1894 r. dzienniki doniosły o uwięzieniu oficera sztabu generalnego z powodu zdrady tajemnic państwowych. Schwarzkoppen, nie wiedząc, że uwięzionym był Dreyfus, odezwał się do *attaché* włoskiego, Panizzardiego: „Mój człowiek dał się złapać, głupiec!“ Skazanie Dreyfusa zapewniło swobodę działania obu stronom, dającej i biorącej. Dla zdrajcy interes był zyskowny: przynosił mu rocznie do 80,000 fr. Stosunki trwały do listopada 1896 r. Ogłoszenie owego *bordereau* przez *Matin* musiało je przerwać: Schwarzkoppen poznał rękę Esterhazego. Od tego czasu obaj panowie wcale się nie znali i dopiero na jesieni 1897 r. Esterhazy przypomniał się dobremu swemu znajomemu. Było to d. 16 października w mieszkaniu Schwarzkoppena przy Rue de Lille. Przyszedł do niego major sztabu generalnego francuskiego z rewolwerem w kieszeni: zabije go, jeśli mu odmówi osobistego zapewnienia pani Dreyfusowej, że rzeczywiście on, Schwarzkoppen, utrzymywał z jej mężem stosunki wywiadowcze. Zagrożony odmówił, ale zobowiązał się do tajemnicy, a raczej osobistem zapewnieniem wzmocnił urzędowy swój obowiązek. Esterhazy, na razie ugłaskany, w kilka godzin potem, powrócił już rozpromieniony: dostał od dwóch oficerów dokument, który go mógł obronić od wszelkiego niebezpieczeństwa. Dalsze pasmo wysnuło już samo postępowanie sądowe w pierwszym procesie Zoli.

Tydzień polityczny. Pokój między Stanami Zjednoczonymi a Hiszpanią stanął już nad przepaścią; całe tylko szczęście, że przepaść nie głęboka. Nowe orędzie Mc Kinleya, odczytane w poniedziałek w kongresie, oddaje sprawę wojny pod orzeczenie przedstawicieli Stanów i ludu, a główną pobudkę do czynnej polityki czerpie z uczuć humanitarnych. Hiszpania dała Kubie 6-dniowy rozejm, niewiadomo od kiedy? Pierwsza wiadomość była jeszcze przed świętami; doniesienie o ogłoszeniu już po świętach. Do wojny prą głównie spekulanci. Gorącym jej apostołem wagonowym jest konsul w Hawanie, Lee. Mocarstwa, po pierwszym kroku zalecającym umiarkowanie, spełniły w święta drugi. Jak w latach 1850—1852, tak i obecnie, głównie działają Anglia i Francya; inne mocarstwa przyłączają się tylko do nich.

Austro-Węgry odwołały flotę swą z wód kreteńskich. Sułtan ciągle się jeszcze opiera mianowaniu gubernatora nie-poddanego tureckiego; dyplomacya nie bardzo go naciska.

Węgry obchodziły d. 11 kwietnia pamiątkę półwiekowego konstytucyonalizmu swojego, wielkich demokratycznych reform i politycznego odrodzenia się w r. 1848. Król Franciszek Józef w uroczystościach uczestniczył w tak szczerem usposobieniu, że swą przemową okolicznościową wywołał gorący zapał.

Minister Hanotaux wyłożył radzie gabinetowej podstawy porozumienia się z Chinami. Południowe pogranicze przysposobione już jest na dziedzictwo Francyi. Wyspa Hainan nikomu nie ma być odstąpioną — oczywiście, tylko Francyi, gdy moment nadejdzie.

O wydzierżawieniu Wei-hai-Wei, po ustaniu zajęcia japońskiego, o nietykalności Jang-tse-Kiangu i jego najbliższego porzecza, o. otwarciu wód wewnętrznych dla handlu, zawiadomili obie Izby angielskie Artur Balfour i ks. Devonshire.

Wybory do sejmu niemieckiego odbędą się w d. 20 czerwca.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

INFORMACYE.

Kiedy ogół inteligencyi był zaciekawiony i zaniepokojony losami Stanleya, redaktor naczelny *New York Heralda* wysłał w głąb Afryki reportera, zaopatrzonego w ludzi, amunicyę i wszelkie środki niezbędne. Kosztowało to setki tysięcy. Wysłaniec odnalazł Stanleya i w barwnych sprawozdaniach ogłosił światu swoje spotkanie. Czy nauka na tem dużo zyskała? — Chyba nie! Ale ciekawość ogółu zaspokojono; pismo wyrobiło sobie jeszcze większy rozgłos i powodzenie. Prasa zagraniczna nie zawsze jednak goni za efektami i „sensacyami.“ Umie ona nieraz pochwycić chwilę odpowiednią i szybkiemi a kosztownemi informacyami przynieść rzetelną korzyść ogółowi: przyczynić się do wyświetlenia zjawisk ekonomicznych i społecznych, do zapoznania z nowemi zdobyczami nauki, do ostrzeżenia i powstrzymania od czynów zgubnych, o ile nie płyną falą żywiołowości nieprzepartej.

Nasze pisma nie rozporządzają tak olbrzymimi środkami, jak amerykańskie, angielskie, francuskie itd. Ale też i niewiele robią w zakresie swej możności. Co rok czytamy w prospektach, że ten lub inny dziennik ma szybko i bezpośrednio informować ogół, że posiada „własne“ telegramy i korespondencye ze wszystkich krańców świata; że wysyła specyalnych delegatów w wypadkach nadzwyczajnych. Istotnie — niema wielkiego pożaru w kraju, katastrofy kolejowej, powodzi, pogrzebu człowieka zasłużonego, ażeby redakcye zamożniejsze nie wysłały na miejsce wypadku swoich sprawozdawców. Na tem się kończą „ważne“ informacye. Kiedy zaś przed kilku laty ruch emigracyjny do Brazylii ogarnął masy ludu naszego, kiedy z za oceanu zaczęły dochodzić do nas straszne wieści o niedoli wychodźców, redakcya *Kuryera Warszawskiego* wysłała p. Dygasińskiego. Efekt był wielki. Korespondent nadsyłał barwne i ciekawe listy, napisał nawet powieść dużą na tle stosunków emigracyjnych, ale w gruncie rzeczy zawiódł oczekiwania. Nie przyniósł ulgi wychodźcom, nie wyświetlił, nie wykrył należycie warunków bytu za oceanem, nie wskazał dróg ratunku na miejscu i środków przeciwdziałania wychodźctwu w kraju. Pismo miało tylko poczytne fejletony, które do głębi wzruszyły ludzi wrażliwszych. Niczego więcej nie można było ani się spodziewać, ani żądać od człowieka pojedynczego, któremu niepodzielnie na barki włożono tak ważne zadanie i którego zaopatrzono w tak śmiesznie szczupłą kwotę pieniężną, że musiał walczyć z niedostatkiem i gdyby nie honoraryum za artykuły, nie potrafiłby nawet przy wysiłku swojej energii zrobić tego, co zrobił.

Kiedy pisma w drobnych notatkach obwieściły światu o wielkim i doniosłym wynalazku Szczepanika, pisma nasze spóźniły się z informacyami szczegółowemi i podały je w końcu, zaczerpnąwszy dane z drugiej lub trzeciej ręki. Żadnej zamożniejszej redakcyi nie przyszło na myśl wysłać do wynalazcy wytrawnego specyalistę, pomimo że takie bezpośrednie zdobycie danych kosztowałoby może tyle, co dobre śniadanie wydawców w restauracyi pierwszorzędnej.

Nietylko redakcye grzeszą brakiem informacyj źródłowych w sprawach ważnych; bo zresztą trudno od prasy wymagać wszechstronnego udziału w praktycznem życiu ekonomicznem i społecznem. Mamy różne instytucye, zośrodkowujące sprawy tego życia, których działalność w zakresie wywiadowczo-informacyjnym bardzo jest mizerna. Ile razy u nas z tych ognisk wypływały wszelkie ankiety i poszukiwania za pośrednictwem kwestyonaryuszów, zawsze rezultaty były liche, niedokładne, na których niepodobna zbudować działalności stałej i skutecznej, niepodobna oprzeć wniosków i wywodów, do poparcia zaprojektowanych przekształceń stosunków życiowych.

Kiedy w Petersburgu ważyły się sprawy przemysłu młynarskiego, nie zdołano na zjazd dostarczyć materyału przekonywającego i poważnego. To też korzystali z mętnej wody tylko handlarze, którym bynajmniej nie zależy na dobrobycie ludności w kraju. Kiedy zapowiedziano rozszerzenie i zastosowanie w Królestwie Polskiem ustawy leśnej, której wiele artykułów nietylko się nie zgadza z naszymi warunkami, lecz poprostu może zaciężyć na interesach i bycie znacznej części ludności, nie potrafiono zebrać i usystematyzować danych przekonywających, które

---

48)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Przegrałeś, więc płać! Prawo!

Dopiero wtedy przekonywa się, że i udający „wuja-szopę,“ i „zręczny,“ jest to jedna banda żyganów i graczów.

„Figiel“ bardzo prosty: „wuj-szopa“ powinien tylko umieć szybko rozwiązać w kieszeni węzełek, wyjąć kopiejkę i zawiązać 20 kop. Przed przybyciem nowej partyi uczą się oni specyalnie tej zręczności.

W drugim kącie izby odgrywa się tym czasem inna scena.

— Ach ty Tatarzynie nieochrzczony! Babaju przeklęty! — drze się aresztant wobec kilku nowicyuszów na głupiego, któremu przed chwilą niepostrzeżenie oderżnął krzyż, wysunięty z pod koszuli.

— Jakiż ja babaj! — woła oburzony gapa, jeżeli jestem człowiek ochrzczony i mam krzyż na szyi?

— Nie masz krzyża na szyi, babaju!

— Jakto nie mam? Załóż się o pięć rubli!

— Chłopcy! — zwraca się aresztant do nowicyuszów; — złóżmy pięć rubli, utrzyjmy nos babajowi!

- Wszyscy widzieli jak krzyż odcięto, — a pieniądze w katordze ob, jak są potrzebne! Pięć rubli natychmiast złożono.

— Rozpinaj kołnierzyk!

Rozpina koszulę. Na szyi wisi krzyż. Tutaj oczywiście wszystko zależy na tem, ażeby człowiek miał na sobie dwa krzyże.

Nowicyusze zdumieni żądają zwrotu pieniędzy: „szelmostwo!“ — ale spotykają się z pięściami wszystkich więźniów.

— Płać skoro przegrałeś! Prawo!

Nie będziemy się rozpisywali o nowicyuszu, który ze zdumieniem powtarza, patrząc do swego woreczka:

— Jakże to? Było dwadzieścia rubli, a teraz jest „dziesięć. A więc skradziono! Będę się skarżył!

Spróbuj! Powieź taczkę! Leniwcze paskudny!

Urządzono z nim to samo, co łotry robią na ulicach Odesy i wszystkich wógóle wielkich miast.

We dwu znaleźli sakiewkę i już chcieli przystąpić do podziału zawartości, gdy przed nimi jak z pod ziemi wyrasta właściciel zgubionej sakiewki.

— Moja!

— Twoja, to bierz.

— Zaczekaj! A gdzie się podziały dwa ruble srebrne? Były tu!

— Żadnych rubli nie widzieliśmy.

— Łżesz! Cóż to? Kradzież? U swoich kraść zaczynacie?

— To obszukaj, dyable! Po co łajosz!

Aresztant wywraca kieszenie i pokazuje sakiewkę. To samo musi zrobić i nowicyusz.

Niby-właściciel owych dwu rubli szuka w jego sakiewce, naturalnie nie znajduje i zwraca sakiewkę.

A więc musiał kto inny wyciągnąć!

— Przepraszam! Widzę teraz, żeście ludzie uczciwi!..

I idzie dalej szukać dwu rubli.

Tylko później nowicyusz, zajrzawszy do sakiewki, widzi, że mu zginęło dziesięć rubli.

Tutaj znowu cała rzecz polega na sprycie i na tem, ażeby ktoś podczas poszukiwania z tyłu trącił nagle nowicyusza, zakrzyczał i wogóle zmusił go na chwilę do obejrzenia się.

Chodźmy do grupy, zebranej koło gracza. Tu grają „w naparstek.“ Dwa napar-

stanowczo wpłynęłyby na zmianę tych artykułów, stosownie do potrzeb miejscowych. Kiedy zapowiedziano u nas wprowadzenie monopolu wódczanego — napisano setki artykułów wodnistych i ogólnych, lecz nie zdołano na mocy bezpośrednio zebranych faktów oświetlić warunków miejscowych, prawdziwie i gruntownie w taki sposób, ażeby wielka machinerya nowej postaci gospodarki uwzględniła czysto miejscowe stosunki i potrzeby; żeby mimowoli nie paraliżowała życia ekonomicznego w dziedzinie wytwórczości i handlu spirytusem. Moglibyśmy takich przykładów naliczyć dziesiątki. Jedynie do memoryału, dotyczącego politechniki warszawskiej, zdołano zebrać gruntowne i dokładne dane w dość krótkim czasie, dzięki temu, że pracowało jednocześnie kilkudziesięciu ludzi rzetelnych i że nie szczędzono na ten cel środków. To też memoryał tak sumiennie opracowany niewątpliwie przyczynił się do spieszniejszego zatwierdzenia politechniki.

Wogóle odczuwamy dotkliwy brak informacyj na każdym kroku, we wszelkich zawodach i instytucyach. Pracownicy i zarobkodawcy szukają się wzajemnie po omacku i najczęściej się zawodzą na sobie. Wytwórcy w ten sam sposób szukają rynków zbytu, produkują na oślep albo wytwory niepotrzebne, albo takie, którymi już są wszystkie rynki przepełnione. Tymczasem życie coraz gwałtowniej domaga się informacyj rzetelnych, zorganizowanych. Czy się zdobędziemy prędko na nie? Gdyby ogół nasz wiedział, ile mu strat przynoszą te zabiegi i działania na oślep, ile już milionów pochłonęło to chodzenie po omacku — nie żałowałby nietylko dziesiątków, ale nawet setek tysięcy na stworzenie organów informacyjnych we wszystkich ogniskach spraw życiowych.

LISTY PETERSBURSKIE.

Na Wschodzie.

Cała prasa petersburska i opinia publiczna żywo są poruszone doniosłym faktem: zajęciem przez Rosyę portu Arthura i Talienwanu. Jest to istotnie wielkie święto w historyi podbojów politycznych i cywilizacyjnych. To też dziwić się nie można, że ten fakt swoim ogromem przygniótł na razie wszelkie inne zjawiska życia bieżącego, a nawet większe jego objawy wcisnął pod powierzchnię spostrzeżeń ludzkich, lub zmiażdżył i rozdrobnił. *St. Pet. Wied.* w artykule wstępnym zaznaczają, że Rosya coraz ściślej i głębiej zrasta się ze Wschodem, „pokrewnym jej duchem," że zupełnie naturalnie panuje ona nad Azyą, w której Anglicy trzymają się tylko sztucznie, przyczepieni do powierzchni. „Przed Rosyą otwiera się tak wielkie zadanie, że jej potrzebne jest podniesienie sił społecznych. Umowa z Chinami powinna być wielkim bodźcem do wejścia w dziedzinę czegoś niezbadanego, olbrzymiego, co wymaga świeżej myśli i natężenia woli."

Pisarze rosyjscy kładą nacisk na żywiołowość dążenia olbrzymiego państwa ku Wschodowi azyatyckiemu i starają się poprzeć swoje dowodzenia faktami i zjawiskami historycznemi. Jednocześnie z posuwaniem się terytoryalnem dąży także i ludność państwa. Zaiste dziwne to i różnorodne wędrówki! Można powiedzieć to, co już Maksimow zaznaczył, że do rozwoju kulturalnego i cywilizacyjnego olbrzymich terytoryów syberyjskich przyczynili się osiedleńcy przymusowi, których znaczny procent stanowią ludzie bardzo inteligentni i zdolni. Oni także złożyli na ołtarzu wiedzy pierwsze zdobycze naukowe. Skazańcy zaś kryminalni, przeważnie ciemni, jako przymusowa siła robocza — przyczynili się do ożywienia i poznania pustych, dzikich, odległych, odosobnionych miejscowości państwa rosyjskiego na dalekim Wschodzie.

Do uwag tych nie od rzeczy jest dołączyć garść faktów historycznych, które zarazem będą niejako uzupełnieniem drukowanych w odcinku *Prawdy* szkiców Doroszewicza. Fakty owe czerpiemy z dwu źródeł: *Sudiebnej Gazety* („Osada robót ciężkich na Sachalinie") i *Prawit. Wiestnika* („Z dziejów zesłania na Syberyę"). Wyspa Sachalin znana jest w historyi Japonii na początku XVII wieku. W stuleciu zaś bieżącem władały nią wspólnie Japonia i Rosya. Do drugiej w całości przeszła r. 1875 wzamian za wyspy Kuryjskie. Cała powierzchnia Sachalina wynosi 60,000 wiorst kw. Pierwsza większa partya zesłańców do robót ciężkich — 800 ludzi — przybyła na wyspę z Rosyi r. 1869 dla eksploatacyi kopalni węgla. Przedtem zaś wysyłano skazańców partyami drobnemi po kilka i kilkanaście osób. Roku 1882 liczba zesłanych dosięgła 2,000; dawnych zaś katorżników, uwolnionych do robót rolnych, tudzież osadników, liczono: 239 mężczyzn, 52 kobiety i 75 dzieci. Zwiększony ruch zesłańców pochodził stąd, iż komisya Własowa, wydelegowana na miejsce do zbadania warunków organizacyi osady więziennej, w raporcie swoim zaznaczyła urodzajność ziemi na wyspie i znaczne obszary gruntów ornych. Skutkiem tego rząd przez szereg lat łożył olbrzymie sumy na koszt ulepszonych maszyn i narzędzi rolniczych, na maszyny do młyna parowego i tartaka, na szyny do kolejki, na inwentarz zarodowy i wiele innych tego rodzaju środków rozwoju rolnictwa. Wszystkie te wydatki w latach 1880—1883 oparte były na raportach administracyi sachalińskiej, która donosiła o wzrastającej ilości gruntów ornych, o obfitości sprzętów i żądała, ażeby sumy przeznaczone na kupno zboża w Odesie dla mieszkańców wyspy, przysyłano w gotowiźnie do rozporządzenia tej adminisracyi na zakupy od osadników miejscowych, bo w ten sposób można było ich zachęcić do rolnictwa. Słowem — malowano wyspę jako kraj, mający świetną przyszłość pod względem rozwoju rolnictwa. Wymagał on tylko jeszcze nieustannych i znacznych nakładów. Ale oto po wielu latach nastąpiło rozczarowanie: Gdy według raportów sachalińskich w r. 1882 na wyspie miało być 1,030 dziesięcin gruntu zasianego, a r. 1883 nawet 2,030 dzies., w rzeczywistości znaleziono pod koniec r. 1884 tylko 155 dzies. ziemi ornej i 355 dzies. pastwisk; resztę zaś stanowiły błota torfowe. Nic też dziwnego, że sprawa sachalińska, a raczej sprawa szafarzy i gospodarzy miejscowych, działających zdala, po za okiem wszelkiej kontroli, „występuje dziś jako wrzód dojrzały, wymagający operacyi umiejętnej i skomplikowanej."

Dla głębokiego badacza-socyologa i zarazem antropologa, wielkie mogą mieć znaczenie dzieje zaludniania Syberyi, oraz pierwiastki duchowe i rasowe tej ludności, którą losy zagnały na rozległe obszary

---

stki, pod jednym gałka, pod drugim nic niema. Grają na ławeczce, która postawiona na tapczanie służy za stół podczas obiadu. Gracz z taką szybkością przesuwa naparstki, że niepodobna zauważyć, pod którym znajduje się gałka.

— Zakręcę, zamęczę — woła gracz; — postawcie cokolwiek!

— Patrzcie, czort, dyabeł! Od samego świtu do gry już zasiada! — słychać z tyłu wołanie w tłumie.

— A tobie co do tego, przeklęty! — odpowiada gracz.

— A to, że nieporządek! Ot co!..

— A tyś co za porządniś taki? Skąd się tu wziąłeś? Kto cię wezwał do wprowadzenia porządków? Coś ty za ptaszek?

— Nie łaj! Dyable!

— Milcz dopóki łeb masz cały!

Oto zdaje się sięgną do cholewy i wyciągną „żuliki" — noże. Twarze zezwierzęciały. Gracz zapomniał o grze, odwrócił się do tego, kto obrazę wywołał.

W tej chwili właśnie aresztanci patrzą, pod którym naparstkiem jest gałka z chleba.

— Połóż, połóż czerwony! — szepczą pieniężnemu nowicyuszowi (obok jego miejsca wszczęła się gra); połóż! Po co go żałować! Wszystkich ogrywa! Trzeba i jego! Stawiaj! Na pewno wygrasz. Ot, tak; chowaj pieniądze pod kartę.

— Dosyć już tego, dyabli! — wołają do kłócących się; — patrzcie, awanturę wszczęli! A tobie co do tego? Nie podoba się — ruszaj dalej; ognia z człowieka nie krzesaj! Zapalczywy człowiek!

Niezadowolonego, który przystąpił do gry, wyprowadzają. Gracz mrucząc, i łając, rozpoczyna na nowo grę.

— No, co tutaj?

— Wszystko zrobione. Kusz pod kartą. Gracz bierze się do naparstków.

— Nie, daj pokój! — protestuje tłum — gra skończona. Jak jest, tak być powinno! Ot, na ten on postawił!

— Możeście podpatrzyli; dyabli?

— Znać, żeś okrom złodzieja nikogo w życiu nie widział. Będzie tam kto podglądał! Nie — prawo! Gra urządzona!

— A może stawka wielka?

— Pod kartą ile jest? Nie, tyś nie według prawidel! Chcesz „ciemnej"? Lubisz, suki synu, wygrywać, umiejże i płacić!

— No, niech tam będzie jak chcecie! Jeżeli prawidło — ja ani mru-mru! Czy ten?

— Ten! — potwierdza nowicyusz.

Gracz podnosi naparstek. Pod nim pusto — wyciąga stawkę z pod karty.

Tutaj znowu wszystko zależy od wprawnego ruchu rąk, od umiejętnego i szybkiego przesunięcia naparstków podczas gdy nowicyusz zajęty jest kłótnią.

„Asy," oraz „czarne i czerwone," — prawie to samo. Wybierają dowolnie: asy lub inne jakie karty. Lożą zakryte trzy asy: dwa czarne jeden czerwony. Gracz przekłada je z taką zdumiewającą szybkością, że niepodobna dostrzedz, gdzie jest czerwony.

Ale podczas gry odrywają jego uwagę kłótnią, albo coś nagle powiedzą. Gracz odwraca się, a w tej chwili jakiś więzień podpatrzy, gdzie jest czerwony i zrobi ołówkiem znaczek na przeciwnej stronie karty.

— Staw na tę! — szepczą nowicyuszowi. Gracz kończy kłótnię lub rozmowę, bierze się znowu do gry, zaczyna przekładać karty z miejsca na miejsce.

— Gotowe!

Nowicyusz stawia na asa naznaczonego nieraz wszystko co ma, chcąc odrazu podwoić swoją kwotę. Pozwalają mu odkryć asa: czarny!

Sam gracz położył zręcznie inną kartę naznaczoną, asa czerwonego, przygotowanego zawczasu.

zauralskie. Olbrzymi i bogaty materyał, który doniośle będzie miał znaczenie dla przyszłych pokoleń w historyi cywilizacyi powszechnej, nie jest jeszcze całkowicie i systematycznie opracowany. Literatura posiada go, bądź w formie dorywczej, bądź surowej. I obecnie wydrukowano w *Prawit. Wiest.* dzieje zesłań są tylko szkicem pobieżnym. To przymusowe zaludnianie obszarów syberyjskich datuje się od 2 0 lat. Początkowo wysyłano tam osoby, skazane na śmierć: złodziejów i rozbójników. Zamiast odcinania głów, pozbawiano ich palca u lewej ręki i wysyłano z rodzinami na Syberyę. Od r. 1669 wysyłano włóczęgów, złodziejów, przekupniów rzeczy kradzionych itd. Roku 1663 rozkazano zamiast rąk i palców obcinać im uszy. Pod koniec panowania Piotra zesłania wzmogły się i dosięgły olbrzymich rozmiarów: w okresie 1730—1740 zesłano około 20,000 (po 2,000 rocznie), jedynie tylko szlachty i urzędników. Według dokumentów urzędowych, liczba wszystkich osób zesłanych na Syberyę od r. 1823 do 10 września 1897 r., tj. w okresie prawie 75-letnim, wynosi 907,241. W tej sumie członków rodzin, dobrowolnie towarzyszących skazanym, 215,843. Po dodaniu do tej liczby zesłanych od początku stulecia bieżącego (200,000), suma ogólna zesłańców od 1 stycznia 1880 roku do chwili obecnej wyniesie więcej, niż $^1/_4$ współczesnej ludności Syberyi (gub. Tomska, Tobolska, Irkucka i Jenisejska, tudzież prowincye: Zabajkalska, Jakucka i Nadmorska). Biorąc pod uwagę, że zsyłanie trwa już przeszło 200 lat i że przyrost ludności wywołali zesłańcy, trzeba przyjść do wniosku, iż większość ludności syberyjskiej składa się z zesłanych i ich potomstwa. Szczególnie to jest widoczne w gub. Tobolskiej, w której pozostała $^1/_3$ ogółu zesłanych na Syberyę.

Obok powyższej postaci zaludniania obszarów syberyjskich, wytworzyła się w ostatnich latach inna — emigracya ludu wiejskiego. Można powiedzieć, że jest to poniekąd wędrówka również przymusowa, gdyż wynikająca z nacisku ciężkich warunków ekonomicznych. Zrazu wychodźctwo, odbywające się na oślep, bez żadnej organizacyi i pomocy, doprowadzało masy ludzi do rozpaczy i nędzy. Następnie stworzono jaką taką organizacyę. Zaczęto wskazywać i wyznaczać miejsca odpowiednie do osadnictwa; ale i tutaj były bardzo dotkliwe omyłki. Osadzano lud na pustkowiach, na gruntach bezwodnych i jałowych. Dziś te omyłki nie zdarzają się tak często; zresztą organizacya przesiedleńcza zupełnie inny charakter przybrała. Ster jej oddano komitetowi budowy kolei Syberyjskiej, oraz zaopatrzono go w szerokie pełnomocnictwo i znaczne środki materyalne. Dzięki temu kolonizacya zaczyna przybierać charakter celowy. Przedewszystkiem przedsięwzięto na szeroką skalę roboty wstępne; postanowiono dokładnie i rzetelnie wskazać ilość wolnych gruntów, zdatnych do uprawy. W tym celu przy ministeryum dóbr państwa stworzono specyalne oddziały miernicze i natychmiast wysłano je na Syberyę. Wydzielanie ziemi dla osiedleńców zaczęto w gub. Tobolskiej i Tomskiej, głównie w pasie kolei Syberyjskiej. Następnie w obwodach: Akmolińskim, Siemireczeńskim i Semipalatyńskim, w guberniach: Jenisejskiej i Irkuckiej, wreszcie w krajach Nadamurskim i Ussuryjskim. Następnie komitet przystąpił do kultywowania stepów: Barabińskiego i Iszymskiego, oraz części tajgi w gub. Tomskiej. Ogółem od r. 1893 do 1897 komitet kolei Syberyjskiej znalazł około $3^1/_4$ milionów dziesięcin ziemi wolnej. Zwrócono uwagę głównie na to, ażeby grunty, przeznaczone dla osiedleńców, posiadały wszelkie warunki niezbędne w gospodarstwie rolnem (ziemia zdatna do uprawy, łąki, pastwiska, wygony, lasy, woda do picia). Tam, gdzie nie znaleziono wody, zdatnej do picia, wytworzono ją sztucznie. Ażeby ochronić osadników od styczności z zesłańcami kryminalnymi, postanowiono tych ostatnich nie osiedlać w pasie kolei Syberyjskiej.

Sprawa przesiedleńcza nie jest atoli łatwą do pomyślnego przeprowadzenia w czynie. Z natury rzeczy wynikają powikłania i trudności nieprzewidziane. Wogóle jest to zadanie olbrzymie, które wcielone w życie, odegra z czasem olbrzymią rolę w dziejach kultury obszarów zauralskich i nadamurskich. Połączenie zaś sprawy osadnictwa z budową kolei Syberyjskiej świadczy, że ten najdłuższy w świecie szlak żelazny istotnie stanie się z czasem główną arteryą wielkiego, drzemiącego dotąd olbrzymia. Do kolonizacyi syberyjskiej, jako zjawiska bardzo znamiennego i poważnego, z czasem wrócimy. Obecnie tylko zaznaczyć musimy, że budowa kolei Syberyjskiej wytworzyła jeszcze inny rodzaj napływu ludności: urzędników, kupców, przedsiębiorców i wszelkiego rodzaju specyalistów, od których się roi już dzisiaj całe terytoryum wielkiego szlaku. To są wszystko zwiastuny nowej epoki; brzasku, na który zapewne nie patrzy obojętnie cały świat cywilizowany.

Dziś już siły dowożone nie wystarczą dla tych obszarów, gdzie kultura musi być szeroko- i wieloramienną. Postanowiono więc je na miejscu wytwarzać. Dotychczas z wyższych zakładów naukowych istnieje na Syberyi tylko jeden uniwersytet, w Tomsku; wkrótce jednak ma przybyć politechnika, oraz instytut języków wschodnich. W sprawie tego drugiego przed kilku tygodniami naradzano się w ministeryum oświaty. Wynikiem zaś tych narad była następująca uchwała: Instytut będzie założony na krańcu dalekiego Wschodu: we Władywostoku. Zakład dawać ma wiedzę specyalną, niezbędną dla wytworzenia sprawnych i pożytecznych szeregów administracyi, oraz pracowników dziedziny przemysłowo-handlowej w kraju Nadamurskim i na obszarach przyległych. Ze względu na odległość tego ogniska, postanowiono nie krępować kandydatów zbyt wysokiemi wymaganiami. Wstęp będą mieli zarówno ci, którzy skończyli gimnazyum, jak i szkoły realne, handlowe, korpusy kadetów i seminarya duchowne. Oprócz języków: chińskiego, japońskiego, mongolskiego, koreańskiego, oraz angielskiego i francuskiego, wykładane będą: najnowsza historya Chin, Japonii, Korei, ustrój państwowy wszystkich tych krajów, których języki wchodzą do programu nauki, historya kolonizacyi w Azyi wschodniej wogóle, a szczególnie historya stosunków Rosyi z Chinami i Japonią; geografia handlowa i statystyka Azyi wschodniej, rosyjskie prawo państwowe, prawo międzynarodowe, ekonomia polityczna, prawo handlowe, towaroznawstwo i buchhalterya. Kurs nauki będzie czteroletni. Podczas wakacyj studenci będą wysyłani do Chin, Japonii i Korei dla praktycznego poznania języków i zwyczajów miejscowych.

Paweł Krzyżanowski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Porusza się. .

Wzmiankowaliśmy już kilkakrotnie o dążeniu politechnik niemieckich do utrudnienia wstępu i studyów cudzoziemcom, zwłaszcza pochodzą-

---

W taki sposób szulerzy ogrywają tych, którzy pragną wygrać na pewno.

I oto wieczorem nowicyusze, zgrani do nitki, oszukani, nieraz zbici za to, że nie chcą płacić, kładą się na tapczanie i myślą:

— No, ludzie!

A sąsiad pociesza:

— Za to jesteś obecnie rzeczywistym aresztantem, jak się patrzy. Wszyscy tę szkołę przechodzili. Porządek!

Zrabowano ich, i to jest wyświęcenie na katorżników. Skazańcy nie lubią własności i posiadaczów. Ich pieniądze poszły na wędrówkę po więzieniu: dziś należą do jednego, jutro — do innego. .

Niektórzy świeżo wyświęceni ze smutkiem i strachem myślą o dniach głodu i wszelkich niewygodach.

Inni czują gniew w duszy i zasypiają marząc o tem, jak sami będą w ten sposób okradać nowicyuszów.

Prawa katorgi.

Jak wszelkie zbiorowiska ludzkie, katorga nie może się obejść bez swoich praw.

— Rzecz dziwna! — rzekłem w rozmowie z pewnym urzędnikiem „inteligentnym" na Sachalinie; — katorga tak gorąco protestuje przeciwko karze śmierci i chłoście. Tak się oburza. A w swojem życiu uznaje tylko dwa środki: chłostę i karę śmierci!

Mój interlokutor aż podskoczył. Tak się ucieszył, jakbym mu rubla darował.

— Oto właśnie! Niech pan to napisze! Koniecznie niech pan napisze. Niech będzie wiadomem, co znaczy humanitarność! Jeżeli oni sami nic innego dla siebie nie uznają...

Pomimowoli uśmiechnąłem się:

— Czyż pan pragnie, żebyśmy nie byli lepszymi od katorżników?

Nieborak spojrzał na mnie ze zdumieniem, zmieszał się i tylko znalazł taką odpowiedź:

— To... to z pańskiej strony gra słów... to paradoks!..

Społeczeństwo uważa ich za swoich wrogów, zsyła. I oni także uważają za swoich wrogów całe społeczeństwo. *A la guerre comme a la guerre.* Katorgę nie nie obchodzą zbrodnie, popełniane przez skazańców na „czałdonach." Najbardziej zwierzęcy czyn nie wywoła sądu z jej strony. Gdy ktoś popełni morderstwo nie dla pieniędzy, katorga, będzie to traktowała jako „swawolę."

— Patrzcie, dyabeł; przyszył nawet nie za szczyptę tabaki!

Ale powie to dobrodusznie. Co do zabicia człowieka na „swobodzie," katorga ma nawet maksymę: „gdy się czałdona zabije, trzeba tylko w środę i piątek mleka nie jeść." Prawa katorgi przewidują tylko zbrodnie, popełniane przez skazańców na skazańcach.

Najpierw przyjrzyjmy się prawom, które określają obowiązki katorżników. Niewiele tych przepisów — tylko dwa. Jeżeli w izbie, w „numerze" turmy, komukolwiek nałoży się chłosta, wszyscy wnoszą składki „na oprawcę," żeby bardzo mocno nie bił. Jeden daje kopiejkę, drugi dwie, inny trzy, stosownie do zamożności. Ale obowiązkowo każdy, choćby miał grosz tylko, musi go ofiarować. To prawo, od którego uchylać się nie wolno.

Gdyby tego okupu nie było, oprawca, artysta w swoim fachu, może karanego pokaleczyć, a nawet zachłostać na śmierć. Przy takich nadzorcach, jak Feldman, którzy skazywali na chłostę z zamiłowania, turma poprostu rujnowała się, dając łapówki oprawcom. Ci zaś opływali w dostatki i pili.

(C. d. n.).

cym z państwa rosyjskiego. Dążenie to objawia się zarówno w pewnych sferach społecznych, jak i rządowych, a chociaż do dotychczas nie osiągnęło swego ostatecznego celu, prędzej czy później go dopnie. Jak zwykle, chodzi o podszycie prawa bezprawiem, o stworzenie ustaw wyjątkowych dla „ausländerów“ — obciążenie ich zwiększonemi opłatami, obostrzenie egzaminów itp. Znaczny krok w tym kierunku zrobiła świeżo politechnika darmsztadzka. Rozporządzenie rektora (na podstawie polecenia ministra) z d. 24 marca r. b. wymaga, ażeby studenci cudzoziemscy składali piśmienne zobowiązanie rodziców, poświadczone przez rejenta lub urząd gminny i konsulat niemiecki a stwierdzające ich możność dostarczania synom potrzebnych środków materyalnych. Bez takiego dowodu żaden student, nawet dawniej przyjęty, nie będzie zapisany, począwszy od następnego półrocza letniego. Jakkolwiek rozporządzenie to mówi ogólnie o „cudzoziemcach,“ łatwo odgadnąć, przeciw komu jest skierowane. Ostatni wykaz podaje 263 cudzoziemców w politechnice darmsztadzkiej; z tych 120 poddanych rosyjskich (67 Polaków). Jeden Grek, jeden Hiszpan, jeden Turek, jeden Brazylijczyk, jeden Madagaskarczyk, a nawet dwunastu Rumunów lub pięciu Bułgarów — ci nieliczni przedstawiciele „obcych narodowości“ nie mogli wywołać przeciw sobie edyktu, ale 120 „Fremnde von Osten“ — zasłużyło na tę łaskę. Niema od niej apelacyi i na nią rady. Trzeba więc pogodzić się z tym nowym darem cywilizacyjnej wspaniałomyślności Niemców. Zresztą przecie oni tylko bronią się od „najazdu“ i tylko — jak szczerze przyznali się w swej odezwie studenci niemieccy — nie mogą dopuścić, ażeby wykształceni wraz z nimi cudzoziemcy zabierali im miejsca na obczyznie. Rzeczywiście byłoby z naszej strony karygodnem zuchwalstwem, ażeby nasi synowie zajmowali u nas stanowiska, które należą się Niemcom. *Unglaublich, aber wahr!*

Rozbity dzban.

Przysłowie powiada: „dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie.“ W położeniu tego dzbana znaleźli się nareszcie rozmaici spekulanci budujący liche i walące się domy, rozmaici budowniczowie i majstrzy, którzy do spełnienia łotrowstw na tej drodze pomagali pośrednio i bezpośrednio. Z polecenia generał-gubernatora utworzone zostały dwie komisye, z których jedna ma zrewidować wszystkie nowowznoszone domy, a druga — wyjaśnić przyczyny obecnego stanu budownictwa warszawskiego. Jeden z budowniczych urzędowych otrzymał dymisyę, w domach podejrzanych (np. przy Nowogrodzkiej) wstrzymano roboty, a częściowo zawalony (przy Żórawiej) polecono rozebrać. Mamy nadzieję, że komisya rewizyjna spełni swoje zadanie energicznie i sumiennie. Tam, gdzie spekulacya przedzierzgnęła się w zwyczajną zbrodnię, gdzie ofiarą jej padają niewinni ludzie pod gruzami szachrajskich zlepków, gdzie ani robotnik przy pracy, ani lokator w mieszkaniu nie jest pewny życia— tam nic można się kierować pobłażliwością. Skoro tomu dzbanowi, który od lat tylu bywał bezkarnie napełniany oszustwem, nieprawymi zyskami, niekiedy krwią ofiar, oberwało się nareszcie ucho, nie należy go odrutowywać, lecz trzeba rozbić.

Nieusuwalność sędziów.

Kuryer Warszawski objaśnia świeżą uchwałę Rady państwa, zmieniającą dotychczasowe prawo o mianowaniu sędziów. Ustawa z r. 1864 orzekała:

„Prezesi, wiceprezesi i członkowie sądów nie mogą być ani uwalniani bez własnej prośby, okrom wypadków, wymienionych w art. 228—230, 295 i 296, ani przenoszeni z jednej miejscowości do drugiej, bez swojej zgody. Tymczasowe usunięcie sędziego od sprawowania urzędu jest dopuszczane tylko w razie oddania pod sąd, zupełna zaś jego dymisya lub złożenie z urzędu następuje nie inaczej, jak z mocy wyroku sądu karnego.“

Zasada ta uległa w r. 1885 pewnemu ograniczeniu, mianowicie w łonie senatu utworzony został sąd dyscyplinarny, mający prawo zawieszać w urzędowaniu sędziów, przeciw którym wytoczono dochodzenie karne. oraz dymisyonować skazanych. Nadto, na wniosek ministra sprawiedliwości, mógł on, nawet bez wyroku, usuwać sędziów bądź z powodu przekroczeń urzędowych, bądź czynów nagannych i niemoralnych, a wreszcie translokować ich wbrew woli, jeżeli zachowanie się ich w jakiejś miejscowości nasuwało wątpliwość należytego wykonywania obowiązków. Dodać tu trzeba, że przepisy te nie odnosiły się w Królestwie Polskiem do sędziów pokoju i Zjazdu, których mianuje, uwalnia i przenosi minister sprawiedliwości w porozumieniu z generał-gubernatorem warszawskim, oraz do sędziów gminnych, których zawiesza w urzędowaniu lub usuwa tenże minister.

Zasada nieusuwalności, obejmująca tylko prezesów, wiceprezesów i sędziów ogólnych, nadawała im ten przywilej w Królestwie Polskiem dopiero *po trzyletniem urzędowaniu.* Otóż obecnie ten warunek trzyletniej próby zniesiono i sędziowie owych trzech kategoryj odrazu stają się nieusuwalnymi.

Zmiana ta, jak widzimy, ma znaczenie czysto formalne.

Spóźnione odkrycie.

Zrobiono je w spuściznie po byłym naczelniku biura pomiarów w Warszawie, p. Lichtweissie. Właściwie wszystkie podobne odkrycia są spóźnione, to wszakże o tyle jest niezwykłem, że tajemnica ciągnęła się przez lat 10. Osłaniała zaś ona rozmaite nadużycia, po których ślady pozostały w księgach rachunkowych, pisanych. . jedną ręką. Czyja ręka była tak pracowitą—domyśleć się łatwo. P. Lichtweiss od 18 miesięcy już nie wypompowywa swego stanowiska, gdyż został przez p. prezydenta usunięty, ale też niema go już między nami. Wyjechał on za granicę, gdzie go zapewne nie dosięgnie ani rozpoczęte śledztwo, ani dochodzenie sądowe. Ptak odfrunął, pozostawiwszy nam tylko w palcach kilka piór ze swego ogona, musimy więc zachować tę pamiątkę i pogodzić się z myślą, że go nie złapiemy.

Zmartwychwstaniec.

Fatalny wynik gry politycznej, jaką rozpoczął p. J. Kościelski, zdmuchnął szybko i, zdawało się, bezpowrotnie fosforyczną aureolę tego męża stanu. I rzeczywiście uznał on sam swą porażkę, a nawet, jak głoszono, postanowił usunąć się z areny niefortunnego popisu. Widocznie jednak wyleczył się z melancholii i znowu zabrał głos przy obradach nad funduszem kolonizacyjnym w pruskiej Izbie panów. Oświadczywszy szczerze, że w sprawie projektu pomnożenia floty zajmuje inne stanowisko, aniżeli jego rodacy, usiłował dowieść niesprawiedliwości i bezskuteczności walki podjętej przeciw Polakom. Pomijamy nieodznaczające się ani nowością, ani siłą szczegóły jego długiego wywodu, zaznaczymy tylko jeden — rodzaj zjeżdżonego i kulawego konika, którego zwykle dosiadają polityce tej miary. P. Kościelski twierdził z całą stanowczością, że rząd pruski jest fałszywie informowany przez swoich urzędników o nastroju i dążeniach Polaków, jego więc polityka prześladowcza względem nich polega na „nieporozumieniu.“ Ile razy słyszymy podobne twierdzenia — a słyszymy je bardzo często — nie wiemy, co właściwie mamy myśleć o ich wyznawcach: czy to są ludzie zaślepieni, czy naiwni, czy też niezręczni tkacze polityki, która rozłazi się za lada dotknięciem. Cokolwiek piszą do Berlina urzędnicy niemieccy z Poznańskiego, wierzyć i głosić, że rząd pruski prześladuje Polaków tylko dzięki nieporozumieniu i gdyby ich poznał, przycisnąłby czule do swego serca — może chyba niemowlę, albo pozbawiony wszelkiego krytycyzmu dworzanin.

Drugie nagrody.

W wyrokach konkursów naszych ustawicznie powtarza się stała zwrotka: pierwszej nagrody nie przyznano nikomu, drugą zaś... Nie widzielibyśmy w tem chowaniu przynęty przed zwabionymi do niej nic zdrożnego, gdyby taka manipulacya nie powtarzała się zbyt często i gdyby — i to względ najważniejszy — nie uzasadniano jej w szczególny sposób. Mianowicie, odmówienie pierwszej nagrody sędziowie konkursowi usprawiedliwiają tem, że żaden z nadesłanych utworów „nie odpowiadał *w zupełności* przymiotom wymaganym od dzieła *bezwzględnie dobrego.*“ Przypuściwszy, że takie dzieła na świecie istnieją, o czem my mocno wątpimy, to i w takim razie żądać, ażeby na każde wezwanie i każdy użytek pod magicznem zaklęciem nagrody 50 lub 300 rs. objawił się geniusz i stworzył „dzieło bezwzględnie dobre,“ jest to zdradzać rozrzewniającą naiwność. Kiedyś, kiedyś potrzeba było zbiegu szczęśliwych i wyjątkowych okoliczności, ażeby wydobyć na wierzch ukrytego lub obudzić uśpionego geniusza, ale dziś ma on bardzo ułatwione wyjście i lekki sen. Rzec można, że ze wszystkich wypadków gry losu najmniej prawdopodobnym jest ten, który go wyprowadza drogą konkursu i siłą kilkudziesięciu rubli. W ustanawianiu zatem tego rodzaju turniejów należy przyjąć za regułę, że staną do nich umysły mniejszej i średniej miary, niezdolne do „dzieł bezwzględnie dobrych.“ Między nimi też trzeba wybierać i nie marzyć o jakichś bajecznych olbrzymach i ich arcydziełach, dla których przeznaczony jest wieniec spleciony z kilkudziesięciu a nawet kilkuset rubli.

Odczyty.

Dwa ostatnie wykłady popularne w Muzeum przemysłu i rolnictwa poświęcono dziedzinie hygieny. Oba były z sobą pokrewne: W pierwszym dr. Stanisław Bartoszewicz przedstawił smutny obraz warunków oddychania kurzem miejskim; w drugim dr. Henryk Dobrzycki zarysował potrzebę i środki ratunku zdrowia tych właśnie ludzi, których organizm zrujnowały zabiegi o byt, warunki pracy i oddychania w wielkich zbiorowiskach życia. Tymi środkami ratunku mają być wszelkie uzdrowiska, czyli tak zwane stacye klimatyczne. Słuchacze dowiedzieli się, że pył uliczny zawiera krzemionkę, węglany, cząsteczki organiczne, zarodniki grzybów i t. d. Dowiedzieli się, że płuca mają możność zwalczania niewielkiej ilości tych intruzów, wdzierających się gwałtem do organizmu, że nadmierna ilość wywołuje chorobę płuc, t. zw. pylicę i usposabia do gruźlicy, że wreszcie powietrze miejskie, przesycone pyłem, zawiera w sobie bakterye chorobotwórcze. Wykład bardzo ciekawy uprzytomniał zarazem smutny obraz warunków zdrowotnych ludności miejskiej, z którymi walczyć prawie niepodobna. Jedyny ratunek to ucieczka na wieś, niezbędna szczególnie dla organizmów wątłych i dziecięcych. Miejsca takich ucieczek wskazał dr. Henryk Dobrzycki. Odczyt jego (o stacyach klimatycznych) tem jest cenniejszy, że porusza kwestyę, która w życiu praktycznem środkami zbiorowymi dałaby się choć w części urzeczywistnić. O tem, że klimat górski i morski ma cudowne zale-

ty, że odżywczo wzmacniająco działa na zdrowie nadwątlone, wiadomo powszechnie. Ci, dla których taki środek leczniczy jest najpożądańszy, nie zaznają go nigdy, bo stanowią ową większość niezamożną, znękaną i spracowaną. Musi ona szukać ratunku w pobliżu. Powszechne jest mniemanie, że kraj nasz za ubogi w tej mierze. Ubogi jest istotnie — ale w inicyatywę i zaradność. Natura zaś uposażyła go stosunkowo nieźle, tylko że tych bogactw nie znamy i nie umiemy z nich skorzystać. W Królestwie Polskiem powierzchnia lasów zajmuje około 500 mil kwadratowych, tj. prawie $^1/_4$ ogólnej powierzchni kraju. Nie o tę wszakże, z pozoru dość znaczną ilość chodzi, lecz o przestrzenie leśne, zdatne na uzdrowiska klimatyczne, tj. minimum posiadające 30,000 mórg jednolitej przestrzeni leśnej. Dr. Dobrzycki utrzymuje, iż każda gubernia Królestwa posiada przynajmniej jedną taką miejscowość zalesioną, Kielecka, Lubelska i Radomska po kilka, a nawet najuboższa Płocka—jedną miejscowość, leśnictwo Przasnysz, obejmujące 40,000 mórg zwartego lasu. Otóż w tych miejscowościach można byłoby urządzić zupełnie odpowiadające celowi uzdrowiska klimatyczne. Tymczasem w rzeczywistości mamy ich bardzo mało, przytem urządzenie jest niedbałe i pierwotne, przypadkowe. Przed kilkunastu laty istniała w Mioni (pow. Nowomiński) stacya klimatyczna dla chorych na piersi. Niestety, z braku poparcia ogólnego, upadła zupełnie. Dziś Inowłódz posiada wyborne warunki naturalne, a w niedalekiej przyszłości udogodnienie komunikacyjne — otwarcie stacyi kolei Dąbrowskiej — uprzystępni tę miejscowość ogółowi, jeżeli nie stanie na przeszkodzie brak odpowiednich pomieszczeń i urządzeń. Dr. Dobrzycki, chcąc poznać dokładnie warunki leśno-lecznicze naszego kraju, odbył wycieczkę i między innemi znalazł, że miejscowość Samsonów przy stacyi Zagnańsk, kolei Dąbrowskiej, posiada wszelkie warunki lecznicze. Niestety, na to potrzeba kapitałów i rzutkości przedsiębiorczej." Można byłoby urządzić w kraju przynajmniej kilkanaście stacyj klimatycznych, które przyniosłyby ogółowi prawdziwy pożytek tylko w takim razie, gdyby nie były traktowane jako przedsięwzięcie spekulacyjne. Sądzimy, iż wielkie stowarzyszenie akcyjne z charakterem bardziej społecznym, niż kapitalistycznym, znalazłoby tu szerokie pole do pracy owocnej i nawet ciągnęłoby znaczne dochody bez wyzysku.

Prelegent pominął wspaniałe i bogate miejscowości leśne po za granicami Królestwa Polskiego, stosunkowo niezbyt odległe od Warszawy. Między innemi do pierwszorzędnych i dobrze urządzonych uzdrowisk klimatycznych zaliczyć należy piękną i zasobną Sławutę na Wołyniu przy głównej linii (Brzesko-Kijowskiej) kolei Południowo-Zachodnich.

SRRAWA OPOCZYŃSKA.

Izba sądowa warszawska rozstrzygnęła głośną sprawę o nadużycia służbowe, spełnione w r. 1894 podczas epidemii cholery w pow. Opoczyńskim. Oto wyjątki z aktu oskarżenia: Radca dworu, Grzegorz Herman (lat 42) oskarżony o to, że będąc na stanowisku naczelnika powiatu Opoczyńskiego gub. Radomskiej, przy współudziale innych osób, zajmujących stanowiska urzędowe, w celach korzyści własnej, sporządził świadomie powiększone rachunki, usprawiedliwione fałszywymi dokumentami podczas walki z epidemią 1894 r. i przywłaszczył sobie ogółem 1,936 rs. 38 kop. Nadto miał zamiar przywłaszczyć 543 rs. 33 kop. Nadużywając swojej władzy, wyłudził od różnych osób ogółem 1,450 rs. Feliks Bijejko (lat 52), oskarżony o to, że będąc na stanowisku lekarza powiatowego, przy współudziale osób trzecich w celach zysku sporządził na podstawie fałszywych dokumentów rachunki świadomie powiększone do sumy 758 rs. 88 k. na wydatki w walce z epidemią. Przywłaszczył sobie nieprawidłowo wykazane w rachunkach 638 rs. 30 k. Nadto miał zamiar przywłaszczyć 120 rs. 58 k. Burmistrz m. Opoczna, Jan Sojda (lat 45); urzędnik magistratu opoczyńskiego, Stefan Borowski (lat 34), będąc na stanowisku urzędników, wraz z innymi w celu zysków sporządzili na podstawie fałszywych kwitów świadomie powiększone rachunki rozchodów podczas epidemii. Przywłaszczyli sobie wykazane w tych rachunkach 522 rs. 48 k. i mieli zamiar przywłaszczyć 222 rs. 75 k. Tenże Sojda oskarżony jest wraz z innymi o to, że przywłaszczył sobie 64 rs. 80 k., przeznaczone na urządzenie skweru przed gmachem powiatu i że fałszywie zaświadczył na nakazach egzekucyjnych Zjazdu, twierdząc, iż wyroki co do rozbioru starych domów są spełnione. Również o wykazy fałszywe i przywłaszczenie różnych sum oskarżeni: były wójt gminy Klwów, Adam Nowak (lat 41), pisarz tej gminy, Tadeusz Assendi (lat 33), były wójt gminy Studzianna, Leon Chołociński (lat 58) i b. pisarz tejże gminy, Stefan Woroniecki (lat 27). Mieszkaniec m. Opoczna, Zygmunt Neufeld (lat 55), będąc członkiem dozoru bożniczego i nadużywając swego stanowiska, wraz z innymi urzędnikami podpisał fałszywą odezwę dozoru na imię burmistrza miasta Opoczna, z datą wcześniejszą. Wiedział, że ta odezwa posłuży do ukrycia przywłaszczonych pieniędzy.

W toku sprawy, na mocy zeznań oskarżonych i świadków, wyjaśniono następujące fakty: Lekarz Bijejko, zmuszony podczas pobytu z oddziałem sanitarnym nad Pilicą do ciągłego podejmowania Hermana i pomocnika jego, Górskiego, wpadł w niedobór, a gdy zwrócił na to uwagę naczelnika, ten polecił mu wydatki zamieścić w rubryce rozchodów na walkę z epidemią. Nadto, na żądanie Hermana dał mu około 300 rs. z sumy pozostałej na potrzeby zdrowotne. Burmistrz Sojda zeznał, że Herman bywał grzeczny i uprzejmy tylko wtedy, gdy mu dostarczano gotówki. Wogóle jednak zadzierał ciągle z Sojdą, a raz nawet doniósł gubernatorowi, że Sojda nie spełnia jego rozkazów i żądań. Były to istotnie żądania nieuprawnione. Pod grozą dymisyi, zapowiedzianej przez gubernatora za nieposłuszeństwo, Sojda musiał być narzędziem naczelnika powiatu. Herman wskazywał Sojdzie t. zw. izolacyę, jako obfite źródło zysków. (Chorym odosobnionym wypłacano po 15 kop., w rachunku zaś zamieszczono za wiedzą i na rozkaz Hermana 25 kop. Prócz tego powiększono liczbę dni izolacyjnych). Wójt Chołociński zeznał, że z rachunku cholerycznego ani on, ani pisarz, kopiejki nawet nie wzięli: „Kiedy pisarz oznajmił mi, że naczelnik kazał pomieścić w rachunku 100 rs., których wcale nie dał, ja, znając srogość jego oraz wiedząc, że jest on panem życia i śmierci, zgodziłem się na pomieszczenie tych stu rubli w rachunku." Kucharka ze szpitala dla cholerycznych zeznała, że rosół i mięso, przeznaczone dla chorych, zjadali przeważnie felczer i strażnik ziemski, jej zaś kazali dolewać wody i tem karmione chorych. Pewnego razu strażnik i felczer zaprosili Borowskiego na obiad i zjedli kurę, ugotowaną dla chorych. Gdy kucharka zapytała, co da im jeść, strażnik zawołał: A niech ich dyabli wezmą! B. pisarz gminny, Jan Stokowski, zeznał, iż Herman zwołał pisarzy gminnych do Opoczna i przez trzy dni kazał im poprawiać rachunki z wydatków cholerycznych. Świadek Szapiro zeznał: Herman brał gdzie tylko mógł wziąć, groził burzeniem domów i za byle co karał surowo tych, co mu łapówki dawać nie chcieli. Gdy mu pieniędzy nie dawano, „obracał czystość w nieczystość, z białego robił czarne, spisywał protokóły i wyznaczał wysokie kary pieniężne. Kto mu się opłacał, mógł być zupełnie spokojny. Świadek Sotkiewicz, obywatel ziemski, zeznał, iż Herman dopuszczał się wielu bezprawi w ściąganiu podatków. Świadek Górski, naczelnik straży ziemskiej, twierdzi, że Herman względem podwładnych był nadzwyczaj ostry, rządził się tylko fantazyą, teroryzował ludzi i zmuszał do wszystkiego. Świadek Dąbrowski zeznał, że naczelnik powiatu wsadził do kozy po siedmiu sołtysów z gmin Studziońskiej i Opoczyńskiej za to, iż nie chcieli podpisać podziału składek na pokrycie zmyślonych wydatków przeciwcholerycznych i zagroził, że po ich wypuszczeniu więzić będzie innych, dopóki nie spełnią jego żądań. Potwierdza to raport naczelnika radomskiego gub. zarządu żandarmskiego do gubernatora. Herman początkowo przeczył temu, potem mówił, że uczynił to na rozkaz gubernatora. Świadek dr. Suffczyński zeznał, że naczelnik powiatu miał ogromne poparcie u gubernatora i wyzyskiwał te swoje stosunki. Inni zeznali, że przywłaszczył sobie wyłudzone od obywateli ziemskich pow. Opoczyńskiego 185 rs. na dotkniętych głodem w Cesarstwie. Od obywatela ziemskiego, Bogusławskiego, wziął podstępnie 240 rs. P. Sojdowa, żona podsądnego burmistrza, zeznała: Naczelnik poczty w Opocznie, p. Łysy, stracił posadę dlatego, iż nie mógł się zgodzić na otwieranie listów prywatnych i nie chciał pokazywać ich naczelnikowi pow. Herman do rozpaczy doprowadzał podwładnych urzędników ciągłem domaganiem się łapówek i „pożyczek."

Podsądny w obronie swojej twierdził, iż władza wyższa była zawsze z niego zadowolona i prosił o odczytanie odezwy, wystosowanej do niego przez rząd gubernialny, z podziękowaniem za energiczne tłumienie cholery. Następnie domagał się odczytania okólnika gubernatora radomskiego do naczelnika powiatu. — A jaka jest treść okólnika? — zapytał przewodniczący. — Podziękowanie dla mnie, a udzielenie nagany innym naczelnikom — odrzekł zapytany. Przewodniczący, odczytawszy po cichu okólnik, rzekł: Tak... tak... są tu nagany dla naczelników pow. Iłżeckiego i Opatowskiego, a pochwały i podziękowania dla policmajstra radomskiego, Kiryczenki i dla oskarżonego Hermana. Herman w obronie swojej usiłował całą winę złożyć na innych i utrzymywał, że we wszystkich zeznaniach przeciwko niemu tkwi... polska intryga! Prokurator, p. Kilsztet, przekonywająco zbijał obronę podsądnego i powołał się na to, że ten podczas pobytu w Turkiestanie, jako komisarz do spraw ziemskich, popełniał także nadużycia.

D. 7 kwietnia zapadł wyrok osnowy następującej; Izba sądowa warszawska postanowiła: Uznając oskarżonego Jerzego Hermana za winnego z art. 417 i 343 kod. kar., skazać go na złożenie z urzędu; w myśl zaś ust. 1-go art. XIII Manifestu Najwyższego z d. 28 maja 1896, uwolnić go od tej kary. Oskarżonym: Adamowi Nowakowi i Tadeuszowi Assendiemu udzielić nagany, a uwolnić od tej kary na zasadzie Manifestu. Oskarżonych: Feliksa Bijejkę, Jana Sojdę, Leona Chołocińskiego i Stefana Woronieckiego, pozbawić wszystkich szczególnych praw i przywilejów, a Bijejkę i orderów św. Stanisława kl. III i św. Anny kl. III i skazać: Bijejkę na osiedlenie w gub. Tobolskiej, z prawem po 12 latach wyboru miejsca zamie-

szkania w granicach Rosyi europejskiej i azyatyckiej, oprócz stolic i gubernij stołecznych, ale bez przywrócenia praw i przywilejów. Sojdę, Chołocińskiego i Woronieckiego — na 5 miesięcy i 10 dni, z następstwami określonemi w art 48 kod. kar. Oskarżonych: Stefana Borowskiego i Zygmunta Neufelda uniewinnić i od wszelkiej odpowiedzialności uwolnić. Wyrok po uprawomocnieniu lecz przed wykonaniem co do skazanych: Bijejki, Sojdy, Chołocińskiego i Woronieckiego, z uwagi zarówno na dawniejsze ich nieposzlakowane urzędowanie, jako też i inne okoliczności sprawy niniejszej, przedstawić za pośrednictwem p. ministra sprawiedliwości do uznania Najjaśniejszego Pana z prośbą o zamianę w drodze łaski kar. wymierzonych przez Izbę sądową: dla Bijejki i Sojdy — na wykluczenie ze służby rządowej, a dla Chołocińskiego i Woronieckiego — na czteromiesięczne osadzenie w wieży, bez pozbawienia praw.

BADANIA NAUKOWE.

Telektroskop Szczepanika.

Od kilku miesięcy pisma niemieckie zajmują się Janem Szczepanikiem, młodym technikiem polskim, który dokonał podobno nadzwyczaj ciekawego wynalazku, mianowicie zbudował przyrząd do przenoszenia na odległość obrazów optycznych (telektroskop).

Ponieważ ogół interesuje się coraz bardziej temi wiadomościami, przeto czujemy się w obowiązku dać czytelnikom *Prawdy* krótką ocenę owego wynalazku.

Telektroskop, o ile sądzić możemy z niedokładnych zresztą rysunków, podanych przez czasopisma, jest zbudowany bardzo prosto i zarazem dowcipnie; składa się z czterech głównych części: zwierciadełek, elektromagnesów, selenowego pierścienia i pryzmatu.

Zobaczmy, jak wynalazca spożytkował te „elementy" dla osiągnięcia zamierzonego celu.

Na stacyi wysyłającej obraz przedmiotu, otrzymany przez objektyw lub zwyczajny otwór, pada na zwierciadełko drgające, a raczej kołyszące się szybko około osi horyzontalnej; ruch ten nadaje mu elektromagnes, działający na jego zbroję (kawałek blachy żelaznej). Ponieważ lusterko ma praktycznie formę linijki, równoległej do osi (werniksowana powierzchnia z kreską), przeto odbija ono nie cały (?) obraz, lecz część jego, powiedzmy: „pasek." Wskutek oscylowania zwierciadełka „owa kreska rzuca pasek po pasku" cały (?) obraz na drugie zwierciadełko, także mające formę linijki horyzontalnej która jednak kołysze się około osi *pionowej*.

Wyobraźmy sobie, że zwierciadełko horyzontalne w danym momencie rzuciło na zwierciadełko pionowe szereg świetlnych punktów, stanowiących pasek obrazu: to wskutek oscylacyi punkty te będą kolejno przemykały się po przeciwległej ściance przyrządu; jeśli wybierzemy na ściance jakieś stałe miejsce, to będzie ono ulegało nadzwyczaj szybkim zmianom (co do barwy i natężenia) oświetlenia.

Widzimy więc, że oscylujące zwierciadełka „rozkładają" w przeciągu około $^1/_{10}$ sekundy obraz przedmiotu na wielką liczbę świetlanych „punktów."

Jakże teraz przenieść to wszystkie po sobie następujące zmiany na odległość i wytworzyć z nich w oku patrzącego obraz pierwotny? Trzeba tu koniecznie znaleźć „pośrednika" pomiędzy światłem i elektrycznością.

Takim pośrednikiem jest w telektroskopie pierwiastek selen, pokrewny z siarką a mający tę własność, że zmienia, zależnie od siły oświetlenia, swe przewodnictwo elektryczne.

Otóż w miejscu, przez które przemykają się świetlne punkty, na stacyi wysyłającej, znajduje się pierścień selenowy, a raczej pewna część jego, włączona w obwód drutu galwanicznego, biegnącego do stacyi odbierającej.

Łatwo zrozumieć, że cyrkulujący w owym obwodzie prąd staje się to słabszym, to silniejszym, stosownie do tego, jak jest oświetlonym selen; na stacyi odbierającej znajduje się elektromagnes, który, pod wpływem owych zmian w prądzie, przyciąga z rozmaitą siłą swoją kotwicę; do kotwicy tej jest przymocowany pryzmat, na który pada wiązka naturalnego lub sztucznego światła, ulegając w nim rozszczepieniu na barwy widma. Małe widmo skacze więc szybko po ścianie aparatu odbierającego; w ściance tej znajduje się otworek, tak umieszczony, że przenika przezeń w danym momencie promień tej samej barwy, jak ten, który współcześnie pada na selen w stacyi wysyłającej.

Tą drogą rozstrzygnięto pierwszą, najważniejszą część zadania, tj. przeniesiono z jednej stacyi do drugiej po przewodniku cały obraz, rozłożony na punkty; teraz należy, postępując odwrotnie, złożyć pierwotny obraz z pojedynczych punktów.

Do tego trzeba, ażeby zwierciadełko horyzontalne stacyi *A* oscylowało synchronicznie z takiemże zwierciadełkiem na stacyi A^1; to samo i zwierciadełka pionowe. Ruch synchroniczny otrzymał wynalazca w ten sposób, że włączył w jeden łańcuch z przerywaczem prądu elektromagnesy, działające na jednakowo oscylujące lusterka. A więc prąd z bateryi przechodzi przez zwoje elektromagnesu, wprawiającego w drgania lusterko „paskowe" stacyi wysyłającej, stąd udaje się na linię do aparatu odbierającego i tam cyrkuluje w elektromagnesie działającym na takież lusterko „paskowe"; zupełnie analogicznie jest utworzony drugi obwód, zawierający elektromagnesy od lusterek, oscylujących około osi pionowych. W obu obwodach, jak rzekliśmy, znajdują się przerywacze prądu.

Dzięki takiemu urządzeniu w danej chwili analogiczne zwierciadełka mają jednakowe położenie na obu stacyach; ponieważ zaś otwór, przepuszczający barwny promień na stacyi odbierającej zajmuje takie samo miejsce, jak selen na stacyi wysyłającej, więc proces odwrotny, tj. synteza obrazu, może się dokonywać bez przeszkód. Zwierciadełko, oscylujące około osi pionowej, chwyta punkt po punkcie, a raczej promień po promieniu i bardzo szybko odrzuca je na zwierciadełko, wahające się około osi horyzontalnej, odtwarzając na niem pasek po pasku z przenoszonego obrazu. Te paski zostają kolejno odbijane przez drugie zwierciadełko w kierunku matówki lub soczewek.

Sprawa ta odbywa się bardzo szybko; wszystkie punkty, składające uprodukowany obraz, dochodzą do oka widza w przeciągu około $^1/_{10}$ sekundy.

Wiadomo, że siatkówka reaguje na bodziec świetlny, widzimy bowiem iskry elektryczne, trwające zaledwie 0,00001 sekundy; wywołane wrażenie nie mija jednak zaraz, lecz pozostaje w oku przez $^1/_{10}$ sekundy. Dlatego też zjawiające się w różnych miejscach i w bardzo małych odstępach czasu w aparacie punkty świetlne zlewają się w całkowity i pełny obraz.

Wszystko to, zwłaszcza na rysunku, jest jako tako zrozumiałem; w telektroskopie niema nic niemożliwego ze stanowiska teoretycznego; w praktyce jednak z góry już dadzą się przewidzieć liczne i nader poważne trudności. Przedewszystkiem niepodobna prawie osiągnąć synchronicznego ruchu zwierciadełek, które muszą nietylko równocześnie się kołysać, ale być nachylonemi w danym momencie pod ściśle jednakowym kątem na obu stacyach.

Jeśli przypuścimy, iż lusterko horyzontalne wykonywa 100, a pionowe 1,000 wahnięć na sekundę, to tak częste oscylacye (około 150,000 drgań na sekundę w prądzie, przechodzącym przez selen) muszą wywołać samoindukcyę, która wpłynie hamująco i sprawi, że obraz się zamaże.

Dalej trudno przypuścić, aby końce przewodników stykały się ciągle jednakowo z obracającym się pierścieniem selenowym; najmniejsze zaś zmiany w zetknięciu wpływają same przez się na zwiększenie lub zmniejszenie oporu.

Gorzej jeszcze, gdyż świadomi rzeczy utrzymują, że selen, nawet w ciemności, nie posiada stałego przewodnictwa; dla niewiadomych powodów ulega ono niespodziewanym i częstym wahnięciom. Prawdopodobnie wskutek działania prądu, w łonie tego pierwiastku zachodzą jakieś molekularne lub chemiczne zmiany.

Sam Szczepanik przyznał, że jego aparat daje niewyraźne i niedokładnie zabarwione obrazy. Ten ostatni punkt łatwo daje się wytłomaczyć niemożebnością naregulowania pryzmatu, tak aby zawsze właściwe promienie widma przechodziły przez otworek, jak również tem, że i sam wysyłany obraz ma bardzo niewyraźny kolor.

Co do nas, od dawna znamy zasadę telefotu (telektroskopu), który był, co się często zdarza, wprzód na papierze, zanim się wcielił w rzeczywistość, i przyszliśmy do wniosku, że chcąc rozwiązać zagadnienie, należy znaleźć innego pośrednika pomiędzy światłem i elektrycznością, niźli selen; problemat absolutnie synchronicznego ruchu także nie został dotąd rozstrzygniętym zadawalająco.

Wobec tego można uczynić dwa przypuszczenia:

1) Że Szczepanik podał do wiadomości publicznej rysunek telektroskopu takiego, jakim tenże był przed dwoma laty i że obecnie zdołał go przerobić i udoskonalić do pewnego stopnia.

2) Że telektroskop nie wyszedł dotąd z dziedziny pomysłów i że wynalazca stawia dopiero pierwsze kroki ku jego urzeczywistnieniu.

To drugie mimowoli nasuwa się na myśl. Bo dlaczegóż Szczepanik nie pokazuje telektroskopu szerszym kołom specyalistów, chociaż już wziął patenty i zabezpieczył sobie prawa do wynalazku?

Mówią, że sprzedał go komitetowi, urządzającemu wystawę w Paryżu, za 16 milionów fr.; wiadomość ta atoli po sprawdzeniu okazała się fałszywą; zarząd wystawy utrzymuje, iż nie porozumiewał się wcale ze Szczepanikiem, nadto pisma francuskie nie dają o wynalazku żadnych pozytywnych informacyj.

Bądź co bądź, telektroskop musi wyglądać inaczej, niż go przedstawiają ogłoszone rysunki.

Czytelnicy sami zdają sobie sprawę, jakie kolosalne znaczenie miałby dla ludzkości praktyczny dalekowidz. Wspólł z telefonem zniósłby on w zwykłych stosunkach przestrzeń, ułatwiając niesłychanie porozumiewanie się i poznawanie wzajemne współmieszkańców kuli ziemskiej. Dlatego też radzibyśmy co rychlej przekonać się, że Szczepanik rzeczywiście dokonał tego genialnego wynalazku, jaki mu przypisuje opinia.

W. Umiński.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Eliza Orzeszkowa: *Iskry*. Nowele.

(Dokończenie).

Również w „Karyerach," poświęconych odmalowaniu dwu pijaków, rzuconych nie przez los, ale przez wiatr żądzy użycia do obcego, oddalonego od rodzinnych zakątków miasta stołecznego, gdy z autorką przypatrujemy się tym dwu ludziom, którzy w podnieceniu gorączkowem opowiadają swoje koleje — przypomina nam się mimowoli mistrzowska scena, o wiele silniejsza i jaskrawsza z „Zawieruchy" Reymonta, obrazka zresztą słabego, z owym chłopem, zapijającym śmierć żony i krowy. W „Krzaku bzu" przychodzi nam na myśl, że babka i wnuk — lokaj pierwszorzędnego hotelu, od wielu lat zamieszkali w Wiedniu, nie mogliby zachować typowych właściwości litewskich, że szczególnie na tym drugim znać by było wycieranie się śród mętów wielkiego miasta, osad wyziewów rozpusty stołecznej, że owa końcowa modlitwa nie z życia wzięta została, ale uplanowana z góry dla obudzenia w słynnej śpiewaczce Annie Lipskiej tęsknot ojczystych. „Pannie Róży" znowu mamy do wyrzucenia pewną jednostajność pomysłu, osób i tonu autoepicznej formy, często używanej i trochę nadużywanej przez autorkę. Myśli pięknych obfitość wielka, cudownych opisów również, charakter opowiadającego oddany wybornie, tylko że tych ludzi z nabożeństwem dla „faktu, daty, cyfry i siły," ubóstwiających „modernistyczne" życie, zapominających wioski rodzinne i ideały, spotykaliśmy często, bardzo często u tej samej autorki, i w „Braciach," i w „Australczyku," i w „Melancholikach"; wszyscy są zbyt do siebie podobni, powtórzmy to po raz drugi, za mało zindywidualizowani, są monotonnem uosobieniem jednego spostrzeżenia, poczynionego na społeczeństwie dzisiejszem. Oto już wszystkie usterki zauważone, które wyliczyć musieliśmy z pewnym wysiłkiem pamięci wrażeniowej, bośmy ku końcowi obrazka każdego o nich zapominali, bo w nieogrzanej izdebce ubogiego studenta („Daleko") ogarniało nas wzruszenie i tęsknota na skrzydłach żalu leciała ku owym lasom „miłym, głębokim, pełnym samotnych polan i tajemniczych ścieżek, szarego ptactwa, rudych wiewiórek, co to stoją sobie w tę noc zimową uśpione daleko... daleko..." ku „mogile nizkiej z dwoma krzakami róż, przez matkę zasadzonymi, cieniem jodły okrytej, śpiącej spokojnie w tę noc zimową daleko"; bo ze śpiewaczką Anną Lipską („Krzak bzu") wspominamy ze łzawem wzruszeniem krzak bzu, hen daleko nad Niemnem rosnący koło domku nizkiego, topolę przy lamusie, siwą kochającą babkę, i wzrok podnosimy ku gwieździe „na nocnem niebie gorejącej spokojnie, czystej, z wysoka spoglądającej na gwiazdy ziemskie, małe, miłe, takie słabe"; bo w „Czy pamiętasz" szukamy smutni w dali czasu chwil minionej młodości sielskiej i czystej, odległego zakątka, ukochanego niegdyś i twarzy znanej, którąby można było zapytać: „czy pamiętasz?" I wdzięczni jesteśmy nieskończenie znakomitej autorce za chwile tej tęsknicy, brzmiące szmerem łzawym przypomnień, jak wdzięczni jesteśmy, że wśród otoczenia filisterskiego w pospolitym domu szlacheckim pokazała nam serce p. Róży miłujące, pełne ukochania dla lasów, gdzie za jej młodości toczyły się boje i dla tych, co boje te wiedli, dla narzeczonego, który zginął młodo. Kobiety z sercem, co wiecznie kocha i pamięta, milczące, skromne i pokorne, poświęcające się z oddaniem zupełnem dla najbliższych, z rękami wątłemi i spracowanemi, ze źrenicami smutnemi nikt nie maluje u nas z takiem, jak Orzeszkowa mistrzostwem; pędzel jej wówczas nabiera wyrazistości, a zarazem subtelności i delikatności niezwykłej w odcieniach, maluje półtonami w półświetle, kładąc farby spłowiałe i dyskretne, szare. Twarze te wyrazem zamglonych niezapomnianym bólem oczu opowiadają historye długie, ciche, przepojone łzami, mówią ogromnie wiele, więcej, niż hałaśliwa wrzawa w pstrych i jaskrawych powieściach najnowszych, podobnie jak w galeryi obrazów nieraz więcej przykuwa uwagę skupionego widza drobna główka genialnego portrecisty, niż olbrzymie malowidło pełne barw, postaci i szczęku wrażeń, przedstawiające bitwę. Prócz bohaterki tytułowej ma „Panna Róża" jeszcze czar jeden: niezgłębiony smutek, który unosi się wszędzie, wieje niepostrzeżenie, zamknięty nie w wyrazach, lecz w cudownym nastroju, smutek godzin wieczornych i miejsc spowitych w „cień śmierci." Głębiej i silniej wszakże bije serce, tętnem większej żałości przy odczytywaniu nowel: „Babunia," „Siteczko," „Śmierć domu" i „Ani kawaleczka." Tu już szyby nie są zupełnie mętne, na szkle niema ani jednego rysu i blask gwiazd widzimy tak, jakbyśmy patrzyli na nie gołem okiem. Cztery te obrazki, to perły prawdziwe i arcydzieła tak doskonałe, że już od dość dawna podobnych nie złożył nikt w skarbnicy naszego piśmiennictwa. Czy to weźmiemy w „Siteczku" typ kobiety dobrej, ale lekkomyślnej i pustej, przez której serce jak przez sito przesiały się ideały i ukochania, włożone w nie niegdyś przez surowego w swoim smutku i mądrości ojca, która mdleje spotkawszy się przypadkowo w pracowni szwaczki z portretem wielkiego męża, ulubionego za lat dziecinnych, co wyrósł „nie z soli ani z roli," ale z bólu; czy to rodzinę miejską, spędzającą pierwszy wieczór na wsi „na drogiej, pięknej, słodkiej ziemi," która jednak ani kawaleczka ziemi własnej nie ma i ku zdziwieniu chłopca z wioski kupić jej sobie nie może za bogactwo swoje (cudowny jest tam ten gwar uosobionej przyrody, w którym robaczki świętojańskie, chrząszcze, lipy, wiązy i klony, ptaki, żaby radują się, że rodzą się i umierają nad rodzinnym ruczajem, w gniazdach rodzinnych, na gałęziach rodzinnych, że tkwią korzeniami w ziemi rodzinnej); czy licytacyę w starym szlacheckim domu („Śmierć domu"), którego ostatni właściciel „rozkochał się w gwieździe, wzleciał ku niej jak orzeł i zginął jak mucha, a raczej jak liść jesienny," czy wreszcie „Babunię," pod wrażeniem odnalezienia starego zegara mającą widzenie męża i odbywającą z nim wędrówkę do nieba — wszystko tchnie taką prawdą oddania, rzewnością nastroju i siłą przywiązania, że nie zapomni o tych obrazkach nikt, chociażby mu wrażliwość zalewały przez długie lata potoki jeszcze liczniejszych i jeszcze bardziej płytkich, niż obecne utworów. Wszystkie nowele przeczytane oddawna, a struna poruszona przez autorkę łka jeszcze długo, i ciężko jest wrócić do rzeczywistości, bo długo oddychało się innem powietrzem, bo drobiazgi te przenika ukochanie głębokie i nieśmiertelne dla tego, „co nie jest żywnością dla ust, ani dla ciała schronieniem, ani dla głowy wieńcem chwały, ani dla piersi puklerzem obrony, lecz tylko dla serca miłością i bólem bez granic..." Gdyby prasa w swoim czasie, kiedy „Babunia" wyszła w *Bibliotece warszawskiej*, nie zwróciła na utwór ten uwagi, podnosilibyśmy go szczególnie obecnie, w żadnej bowiem prawie noweli nie zdobyła się Orzeszkowa ani na taką potęgę i barwność stylu, promienność obrazów imaginacyi (wędrówka zaziemska) i taką rzewność smutku. To z arcydzieł jej drobnych arcydzieło najwdzięczniejsze. Dla wielu szczytem twórczości ostatniego ćwierćwiecza u nas jest „Latarnik" Sienkiewicza; otóż nie wahamy się twierdzić, że „Latarnik" i „Babunia" — to dwa najbardziej świetliste punkty w naszej nowelistyce, oba jednakiej miary i jednakiego blasku.

Książkę zamykamy z wielkim żalem, z żalem dlatego, że uczuć podobnych tym, które wywołały „Iskry," nie budzą prace autorów młodszych i że według pięknego i smutnego wyrażenia autorki, z wielkich ptaków każdy prędzej albo później zapaść musi za linię horyzontu, za „linię ciemną, która wciąż rośnie i prędzej czy później, lecz niezawodnie i niezadługo wszystkie pokryje." To też wrażenie staramy się możliwie przedłużyć. Pod przymkniętemi powiekami tłoczą się obrazy, jakieś znane i słodkie, błękitna wstęga Niemna, bory sosnowe, rozkołysane wiatrem i szumne uroczystym gwarem, ciche pola szare i „malowane" zbożem, nad pracą pochyleni ludzie o zapadniętych raz na zawsze twarzach: i Romanowa i Paweł, Krystyna i kowal z „Dziurdziów," i wieczny tułacz „Giedali"; jednocześnie cisną się do pamięci wyrazy, brzmią tam ciągle, jako wyraz najlepszy całej sumy wrażeń i w szepcie mimowoli wybiegają na usta: „Czy czujesz, jak tu gdzieś blizko zapachniały zioła leśne i płuca rozszerzająca żywica? Czy spostrzegasz mleczną drogę, wysoko, daleko rozciągniętą na czarnem sklepieniu dlatego, aby pątnicy nie wierzyli w wieczne trwanie ciemności i mieli odwagę żyć do rana..." (Dwa bieguny).

Kazimierz Zdziechowski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Edward Grabowiecki: *Towarzyszki życia*, sztuka w trzech obrazach.

Ogłoszono świeżo, że w Paryżu, tym mózgu świata, powstało arcydzieło sceniczne, „Cyrano de Bergerac." Ludzie wpływu poczynają wyczerpująco przygotowywać Warszawę do poznania tego arcydzieła, jak gdyby w Europie było ono istotnie zjawiskiem, stanowiącem epokę. Nie zamierzamy bynajmniej obniżać wartości tego dzieła, pragniemy tylko stwierdzić, że świątle umysły europejskie dopatrują się epokowości literackiej gdzieindziej, niż siewcy pojęć estetycznych na bruku warszawskim. Gdyby bowiem było inaczej, to siewcy owi sialiby przedewszystkiem słowo o istotnie epokowych arcydziełach Gerharda Hauptmana „Jagusia" (Hannele) i „Dzwon zatopiony." „Jagusia" naprzykład stanowi zupełny przewrót w literaturze scenicznej; „Dzwon zatopiony" stawiano niemal obok „Fausta." W czasach przeto, w których prawdziwi znawcy teatru i literatury dramatycznej milczą a pseudoznawcy przemawiają za nich i za siebie, błąkają się młode siły autorskie bezradnie i powierzają swemu instynktowi szukanie wzorów dla kształcenia smaku i pióra. Oby zdrowy instynkt artystyczny ustrzegł p. Grabowieckiego od fałszywych sterników estetycznych, jeżeli odbija od brzegu na morze sztuki a nie na jakąś bajurę; oby doprowadził go do prawdziwych wysp myśli, uczuć i piękna.

Aczkolwiek „Towarzyszki" zarówno pod względem scenicznym, jak i litera-

okim, obserwacyjnym i ideowym, zaliczyć należy do pierwocin pisarskich, to jednak była to pierwsza nowość w sezonie, której słuchało się z żywszem zajęciem. Autor bowiem z utworu tego wygląda na człowieka, który zna współczesną literaturę dramatyczną świata i przetrawia w sobie jej dorobek. Dziś siedla się on jeszcze w reminiscencyach (chociaż niesłusznie zarzucono mu „branie" gotowych postaci z innych dzieł), nie umie jeszcze władać na scenie życiem i charakterami; ale pisze tak, jak gdyby szedł w tym kierunku.

Pierwszy akt „Towarzyszek" przypomina nieco manierę francuską, trzeci norweską. Pierwszy jest najlepszy, mimo szkicowego traktowania drugorzędnych postaci wzięty w zarysach głównych z obserwacyi, rozwija się naturalnie i aczkolwiek pod względem oryginalności pomysłów nie jest tak bardzo nowym, to tchnie przecież jakąś świeżością niespisanego pióra i artystyczną wiarą autora. Kapitalna jest-ta Nina, goszcząca u siebie tego, który ją kochał, tego, który ją kocha i tego, który ją ma pokochać. W chwili, kiedy były kochanek pod wpływem jej czaru napowrót do nóg jej pada, rozlega się w drugim pokoju śpiew tenora. Jak tu nie rzucić się takiemu śpiewakowi w ramiona! Na nieszczęście zjawił się i malarz, który ją odmalował w fantazyjnym kostiumie. „Bierze" ją tym obrazem; więc zwraca się do niego i pada mu na szyję wołając: „Twoja, twoja, twoja, twoja!" Taka kobieta może być znakomitą towarzyszką szału, ale nie towarzyszką życia. W drugim akcie, a właściwie obrazie, występuje nowa towarzyszka życia i to na tle konkubinatu. Bohaterowi tego aktu zdawało się, że się upora z zagadnieniami małżeńsko-miłosnemi, jeśli nawiąże stosunek z jakąś średniego polotu gospodynią, która przez jedną połowę doby będzie służącą a przez drugą połowę żoną. Scena, charakteryzująca pożycie tej pary, jest doprawdy z talentem nakreślona. Stanowi też ona najdojrzalszą cząstkę całego utworu. Również dobrze jest w tym akcie traktowana postać malarza Ludwika, artysty-narwańca, który nawet herbaty spokojnie wypić nie może, gdyż wpada na pomysły do nowych obrazów. Za to trzeci akt jest niemal w całości chybiony. Jest on próbą dramatu eksperymentalnego. Autor przeprowadza myśl swoją sposobem demonstracyi. Wywiera wrażenie, jakby mówił: oto widzicie, szanowni państwo, przy takiej waryatce, jak Nina, musiał biedny Ludwik dostać pomieszania zmysłów. Nie była ona dobrą towarzyszką życia. Ale ukażę wam inną. Oto poczciwa matka, która skołatanego syna bierze do domu i przygarnia. Oto poczciwy ojciec, który od kobiety żądał serca, choćby gderliwego, a nie nerwów, choćby dyablo ponętnych. Oto poczciwy doktór, który na żadną Ninę nie „polecial," lecz ozenił poczciwą Maryę. A to wreszcie, szanowni widzowie, skutki szaleństw Niny i Ludwika. Pytacie, co teraz będzie w domu? Szpital będzie w domu. To powiedziawszy opuszcza kurtynę.

Ale mimo wszystkiego, co się powiedziało, jest w tej próbce materyi dramatycznej jakiś sposób tkania, który świadczy o talencie. Przypuszczamy, że krytyka nie da p. Grabowieckiemu spocząć na laurach i dojo mu do żywego. Ale niech mu dojo, niech mu dopiecze. Może weźmie się do pracy we wszystkich kierunkach, wyostrzy swój umysł, zaprawi oko, wzbogaci duszę skarbami czerpanymi z książek i ze spostrzeżeń i następnym utworem wytrąci najstronniejszej krytyce pióro z ręki.

Andrzej Niemojewski.

POEZYE

MOC PIEŚNI.

A ty sobie młot ten chwal,
Ten żelazny młot,
A ja będę piosnkę czcił,
Co się zrywa w lot,
Co się w głębi serca rwie
I w błękitną płynie dal, —
Będę wieczność sławił pieśni,
Gdy ty sławisz stal!..

Wiem, że twój żelazny młot
Wiele światu dał;
Wiem, że umie krzesać skry,
Ryjąc granit skał,
Że w budowie świetnych bogactw
Swój znamienny kładnął znak,
Że ludzkości pootwierał
On szeroki szlak;
Wiem, że schodził w głębie kopalń,
Śledził węgla, złota ślad, —
Wiem, że winien jego darom
Wieczną wdzięczność świat...

A więc czczę twój młot żelazny,
Twój żelazny młot,
Siłę ręki twej poważam,
Twego czoła pot;
Niechaj bierze hołd ode mnie
Twojej kuźni żar, —
Lecz ty też i wielb i pojmuj
Wieczny pieśni czar!

Nie jest wcale młodszą piosnka
Niźli gładka stal;
Od jej pracy młodszym nie jest
Serc natchnionych żal.
Zawsze w przerwach dźwięków młota
Dźwięczał pieśni ton,
Dźwięczna nuta ogłaszała
Świetny młota plon.
Młot twój słuchał twojej ręki,
Ale ręki moc
Zawsze słabła, gdy znużenia
Nadchodziła noc;
I dopiero kiedy w serce
Pieśń rzuciła blask,
Krzepła ręka — i potężniej
Huczał młota trzask!

W pieśń natchnioną, słodko-dźwięczną
Z całą mocą wierz,
Bo potędze młota ona
Nie ustąpi też:
Boć kruszyła serc kamienie,
Oczyszczała myśli z plew,
Na dno ludzkich dusz schodziła,
Odkrywała złoto tam;
Rozświecała mrok rozpaczy
I apatyi toń, —
I na pierś zranioną kładła
Swoją miękką dłoń...

Nie wiem czem-by był bez pieśni
Twój żelazny młot, —
Czyby bez niej nie był klątwą
Ciężki czoła pot?!
Gdyby pieśni i spoczynku
Nie był związał ślub, —
Czyż spoczynek-by nie straszył,
Jak milczący grób?!
Czy pociągałby cię nawet
Ten szeroki tór,
Gdyby pieśń nie grała krokom
W melodyjny wtór,
Gdyby dźwięk jej nie nadpływał
Zewsząd, z wszystkich stron,
Gdyby w dal tęskniące serca
Nie przywabiał — on?

Gdybyż jakiś duch złowrogi
Ukradł naraz pieśń,
Gdyby struny harfy porwał
I zakopał w pleśń —
Nie wiem czyby było warto
Wejść na życia próg,
Choćby wielkim głosem wołał
Twego młota huk!..

Oto treść modlitwy mojej,
Oto marzeń szczyt:
Niechaj pieśń mi czarodziejska
Wciąż się wplata w byt;
Niechaj zawsze przyjdzie koić
Mego serca lęk;
Każdą radość, każdą boleść
Niech przetapia w dźwięk;
Niechaj idzie śladem za mną
Przez życiowy las,
Niechaj będzie mi pobudką
I nagrodą wraz;
A gdy głowę mą utuli
Chłodna ziemi cieśń,
Niech nad grobem dźwięczy jeszcze
Harmonijna pieśń!...

Leo Belmont.

SPRAWY EKONOMICZNE

SZKICE EKONOMICZNE.

II

Spólnictwo pierwotne. — Skarb, ażeby powstał, musi korzystać z fortelów i manowców. — Zetknięcie się Eskima z Europą i zamiana odpadków produkcyi na towar. — Rodowód wymiany. — Narody kupieckie.

Dzieje kapitału lichwiarskiego już rozpatrzyliśmy: wyłania się on z kupieckiego i podczas całej epoki gospodarstwa naturalistycznego działa jako pierwiastek wrogi właściwej produkcyi, tj. rujnujący rzeczywistego wytwórcę i pogrążający go w nędzy. Dopiero okres nowoczesny, stwarzając nadmiar mienia ruchomego, sprawia przewrót w stosunku dotychczasowym lichwiarza względom wytwórcy: stopa procentowa spada i kapitał pożyczkowy zamienia się na potęgę wytwórczą, która zapładnia przemysł i z siły wrogiej staje się dobroczynną — z punktu widzenia dłużnika. W szkicu poprzednim nie wyjaśniliśmy rodowodów kapitału kupieckiego, przyjęliśmy go jako rzecz dawną i poprzestaliśmy jedynie na wzmiance, iż powstał on przy zetknięciu się obcych sobie społeczności (lub rodów).

Pozostaje teraz zbadać pochodzenie tej formy zasadniczej, z której wszelki inny kapitał z biegiem czasu powstaje w pierwotnym okresie rozwoju gospodarczego.

Społeczeństwo pierwotne nie gromadzi mienia. Mnóstwo przyczyn staje na przeszkodzie zbieraniu majątku ruchomego, czyli, jak będziemy się wyrażali, skarbu, tj. zbioru przedmiotów. Wytwórczość pracy jest bardzo nieznaczna, prawie cały wysiłek jest zwrócony w kierunku wytwarzania rzeczy spożywczych, tj. z natury swojej nienadających się do przechowywania. Sprzętów jest tam niewiele, tak iż Australczyk używa przyimka z na oznaczenie pojęcia własności: wszystko, co posiada, a zatem bumerang, parę dzirytów, koszyk, ozdoby, zawsze ma na sobie i przy sobie. Braknie więc tam zasadniczego warunku dla powstania skarbu — przedmiotów, które dały się gromadzić. I nawet gdy technika plemienna, dzięki postępowi, umożliwia istnienie większej liczby przedmiotów, to i wtedy plemię nie widzi żadnego celu gromadzenia skarbów: każdy z towarzyszów własną pracą może wytworzyć podobne rzeczy i bogacz pierwotny, prócz kłopotów o zachowanie swojego mienia, nie odnosi żadnego rezultatu, a niema tam jeszcze pracy najemnej, któraby zapłodniła martwe narzędzia. Panuje plemienna, daleko po-

sunięta zasada solidarności. „Wszystkie próby pozyskania tubylców, za pomocą zasady *divide et impera* okazały się daremnemi. Obdarzano najpilniejszego spodniami, ażeby obudzić w nim sobkostwo i wyróżnić go z pośród innych, a już w tym samym dniu znalazły się one na wielu nogach. Może ten, którego pragnęliśmy ukarać odmową, będzie się w nich pysznił. Dacie jednemu mąki, ale omylicie się, mniemając, iż wywołacie zazdrość. Tego samego wieczora rozpalą oni ognie i wszyscy, bez różnicy pomiędzy mojem a twojem, zasiądą do uczty.“ Takie spólnictwo jest zgoła zrozumiałe, gdy chodzi o żywność: natychmiastowe spożycie jest tam jedynie rozsądnem postępowaniem, a ponieważ pojedyncza osoba nie zawsze może podołać zapasowi chwilowo posiadanemu, przeto zasada solidarności jest szeroko stosowana. Powstawszy w sferze wiktuałów, pierwszej, która istniała, rozszerzyła się ona i na sprzęty, które ktoś posiadał w nadmiarze. U Eskimów np. własność przedmiotów jest „bardzo ograniczona.„ Jeśli ktoś pożyczył oręż lub narzędzie od sąsiada i zgubił, nic wzamian nie daje poszkodowanemu, rozumuje bowiem, że ponieważ udziela się czegoś tylko z nadmiaru, przeto pożyczony przedmiot nie był potrzebny właścicielowi. Na tej zasadzie tolerują posiadanie dwóch kajaków, lecz trzeci zabierają bez ceremonii. W ogóle, „cokolwiek nie służy właścicielowi do bezpośredniego a natychmiastowego użytku, uchodzi za własność ogólną.“ I zwyczaj ten istnieje nawet w okresie późniejszym, rolniczym, gdy własność osobista zrobiła znaczne postępy, a utrzymując się, przeszkadza ciułaniu mienia ruchomego. U Kabardyńców na Kaukazie wolno każdemu, bez różnicy stanu, zwracać się do sąsiada z żądaniem konia lub bydlęcia, które spodobały się proszącemu. Rządca majątku ks. Atachyżyna oskarżał się na niemożliwość zaprowadzenia dobrej stadniny. Zaledwie bowiem rozniosła się wKabardyi pogłoska, że książę posiada konie dobrej rasy, a już zaczęli go goście odwiedzać, którzy w przesadnych wyrazach wychwalali tę lub inną parę koni lub wołów, dając mu do zrozumienia, że pragnęliby otrzymać ją w upominku.

Powstrzymywany przez nizką wytwórczość, niepozwalającą plemieniu posiadać licznych i urozmaiconych sprzętów, niszczony przez zwyczaje spólnicze gromady pierwotnej, pozostające jeszcze wtedy, gdy rozpoczęło się rolnictwo, skarb tworzy się wolno, a raczej zupełnie nie tworzy się, póki nie wtargnie do życia społecznego w sposób uboczny. Ciekawa to kartka z pierwotnego rozwoju gospodarczego. Skarb powstaje w tym okresie za pomocą forteli, tj. bywa gromadzony, korzystając z różnych furtek w prawie zwyczajowem. Powstanie jego, to rozwiązanie zawiłego zadania, mianowicie, jak ominąć obyczaj, pozwalający sąsiadom korzystać z nadmiaru produktów, istniejącego u którego z pośród plemieńców. Znaną tam jest tylko jedna kategorya przedmiotów, czyniąca zadość tej możliwości — ozdoby. Człowiek pierwotny jest wprost męczennikiem. Co tylko posiada, wdziewa na siebie, nietylko ażeby pochwalić się, ale także zabezpieczyć mienie swoje od spożycia przez innych. Galton opowiada o pewnym króliku z Afryki południowej, iż pomimo gorąca podzwrotnikowego miewał na sobie po kilka surdutów i czapek; nie mógł pozostawiać bogactw swoich w domu, bo poddani zabraliby je bez ceremonii. Nad rz. Kolumbią dziewczęta mają podziurawianą całą krawędź ucha; wkładają, jako kolczyki, pasma muszli aż do ziemi. Ciężar jest tak znaczny, że dla ocalenia uszów od porwania noszą przepaskę na czole. Ozdoby więc gromadzą się w ręku pojedynczych plemieńców, jako pierwsza forma skarbu — nieprodukcyjna z punktu naszej ekonomii, bo służąca tylko do osobistego użytku. Owo mienie przybiera dopiero wtedy inny charakter, gdy towar, który powstał gdzieś po za wewnętrznem życiem gminy, wtargnie tam, powstać zaś wewnątrz niej nie ma on widoków i możliwości, bo prawo zwyczajowe, oparte na spólnictwie, staje temu na zawadzie. Jak tworzy się skarb, złożony już nie z przedmiotów, ale towarów, o tem da nam wyobrażenie przykład, zaczerpnięty z bytu Eskimów. Jednocześnie dostarczy on nam pojęcia o tych manowcach, na których dyalektyka rozwojowa obchodzi istniejące zasady i daje początek nowym. W życiu tego plemienia rybołówczego spólnictwo, jakeśmy to widzieli, było bardzo rozwinięte i uniemożliwiało nawet posiadanie liczby sprzętów większej nad potrzebną bezpośrednio w chwili bieżącej. Ale istniał tam pewien odpadek produkcyi plemiennej, tj. przedmiot, w takiej ilości posiadany przez każdą rodzinę, że faktycznie znajdował się po za sferą spożycia spólniczego, gdyż każdy miał go w nadmiarze. Były to skóry: część ich używano na odzież, inną na pokrycie namiotów, część jeszcze inna szła na marne. Każdy, bez szkody dla sąsiadów, zdołałby je gromadzić, ale byłoby to postępowanie jak najnierozsądniejsze. Skarb ciułany nie posiadałby żadnej wartości użytkowej. Rzecz ulega zupełnej zmianie z chwilą przybycia Europejczyków, dla których odpadki produkcyi eskimoskiej miały wartość użytkową. Rozpoczyna się wymiana. Każdy z pośród Eskimów najniespodziewaniej został posiadaczem skarbu, złożonego wprawdzie z produktów dla niego nieużytecznych, ale natomiast pożądanych przez obce społeczeństwo, mienie zaś to odrazu znalazło się po za sferą spólnictwa, bo i przedtem było po za jej obrębem. Eskimowie otrzymują noże, topory i inne wytwory europejskie, skóry zaczynają w oczach myśliwców nabierać innego charakteru, stają się one towarem, nawet umyślnie wytwarzanym w oczekiwaniu statków europejskich. Ten i ów zaczyna za przedmioty europejskie nabywać skóry u rodaków dla przyszłej wymiany; to zaś, co w zamian otrzyma, obraca dalej na ten sam cel. Powstaje zasadnicza formuła obrotu wymiennego: skóry—produkty europejskie — skóry. W tym wzorze punkt wyjścia i ogniwo ostateczne są złożone z tych samych jednostek, tj. skór, a więc są współmierne. Tworzy się możliwość obliczenia procentów, zjawia się kapitał kupiecki, tj. skarb przybiera charakter procentujący.

Weźmy przykład, odznaczający się charakterem krańcowo ostrym. Weszły w zetknięcie wzajemne dwie kultury, jedna znajdująca się jeszcze na bardzo nizkim poziomie, druga rozporządzająca rozwiniętymi stosunkami wymiennymi. Ta ostatnia była zdolną pochłonąć odrazu całą ilość odpadku produkcyi, istniejącego u Eskimów, i skutkiem tego dała wewnętrznym stosunkom tego szczepu silną podnietę rozwoju w nowym kierunku. Co do swojej istoty, rzecz nie ulega zmianie, gdy bierzemy dwie grupy pierwotne i badamy rozwój stosunków wymiennych pomiędzy niemi i oddziaływanie ich na dawny ustrój. Tylko że odpadki produkcyi społecznej (lub produkty, będące w nadmiarze) będą zwolna wciągane w wir wymiany. Sądzimy nawet, iż moglibyśmy znaleźć kilka przykładów, dosłownie powtarzających to, co oglądaliśmy u Eskimów: skóry, odpadek produkcyi myśliwskiej, zamienia się odrazu na towar z chwilą zetknięcia się myśliwców z kulturą rolniczą. W N. Meksyku np. stosunki pomiędzy Indyanami osiadłymi a myśliwcami Nawajami były „osobliwe.“ „W zasadzie panowała pomiędzy niemi walka nieubłagana. Pomimo to handel tam istniał. Akomczycy (mieszkańcy jednej z osad) wymieniali swoje ubrania bawełniane na skóry jelenie, przynoszone przez Nawajów.“ Zwolna pomiędzy plemionami pierwotnemi, siedzącemi w sąsiedztwie a posiadającemi dostatecznie odmienne nadmiary, powstaje wymiana; każda gromadka społeczna, uczestnicząca w niej, odznacza się pewną specyalnością. Indyanie Gwiany przedstawiają wzorowy przykład takiej specyalizacyi. „Podział pracy powstał tam samorzutnie: każde plemię posiada pewien produkt specyalny, jego członkowie odwiedzają sąsiadów, nawet wrogów, dla wymiany wytworów swojej pracy na produkty obcoplemienne.“ Warrunowie, lud bojaźliwy i pogardzany przez sąsiadów, trudnią się wyrobem łodzi; Makuowie przygotowują truciznę do strzał i fajki; Ackunowie przędą wyroby bawełniane, nadto wyrabiają fajki z pewnego gatunku palmy; Paruni zmonopolizowali wyrób żaren do tarcia manioku i są hodowcami psów; Karaibowie słyną jako garncarze. Jak widzimy, każde z plemion wyliczonych posiada pewną specyalność, będącą w związku z przyrodzonemi bogactwami ich ojczyzny. Wreszcie jedno z plemion, Wapiani, zamieniło się na handlarzy, którym wolno przechodzić dla celów wymiennych terytorya wrogów.“ „Podczas pobytu u Makuów — pisze Im Thurn — ubawiłem się niejednokrotnie. Do mojej chaty gromadnie wpadali mieszkańcy wioski i przez okna, z bijącem sercem, napół w strachu, napół ucieszeni; pokazywali sobie swoich wrogów, którzy przyszli dla wymiany fajek i bawełny.“

W każdem z pośród takich plemion powstaje zbiór pewnych przedmiotów, gromadzonych dla wymiany, która naturalnie będzie tem żywsza i energiczniejsza, im bogactwa naturalne na nieznaczniejszej przestrzeni geograficznej będą odmienniejsze i różnorodniejsze. Rozmaitość wybrzeża morskiego, archipelagi złożone z niejednakowego pochodzenia wysepek i inne podobnego rodzaju okolice winny szczególnie sprzyjać rozwojowi wymiany, bo tam właśnie na niewielkiej odległości przyroda urozmaiciła bardzo swoje dary. Są to miejsca, w których ustrój towarowy narodził się. Pomiędzy mieszkańcami takiego urozmaiconego obszaru znajdzie się zawsze grupa, żyjąca w takim jałowym zakątku, iż w nastającej specyalizacyi plemiennego podziału pracy przeinacza się na kupców. Przykładu żywego dostarcza nam Melanezya: „Wysepki każdej grupy — pisze Codrington — prowadzą pomiędzy sobą żywą wymianę. Mieszkańcy dwóch wysepek utrzymują się tylko z handlu i przemysłu. Rowa jest wyspą, posiadającą nieznaczną ludność. Sprowadzają oni pokarm z innych wysp, oddając natomiast wzamian ryby oraz pieniądze, które wyrabiają u siebie w domu. Drugiem ogniskiem handlu są wysepki Alita: jej mieszkańcy kupują pokarm za ozdoby i pieniądze“ (pieniędzmi są muszle, służące jednocześnie do ozdób). Taka grupa specyalizuje się coraz bardziej i z biegiem czasu zamienia się na naród kupiecki, wzrastający w zamożność i bogactwa ruchome. Skarb przybiera postać kapitału, zjawia się procent, jeden z towarów daje początek pieniądzom, tj. równoważnikowi powszechnie przyjmowanemu. Rozwój, stworzywszy w pewnej okolicy takie ognisko stosunków towarowo-wymiennych, zamienia je z czasem na dźwignię rozpowszechniania powstałych wzorów. Fenicyanie powstali właśnie w taki sposób, zmuszeni do handlu jałowością terytoryów swoich, leżących wśród okolicy urozmaiconej co do naturalnych produktów.

L. Krzywicki.

O PRAWDĘ.

Szanowny Panie Redaktorze!

Ośmielam się upraszać Pana o łaskawe umieszczenie w jednym z najbliższych numerów *Prawdy* następujących słów kilku:

Korespondent, pisujący pod pseudonimem *Caeca* „Kronikę krakowską,“ nie czytał widać uważnie mojej broszury *Jeden z objawów moralności oportunistyczno-prawomyślnej*, jeżeli w nr. 12 *Prawdy* (str. 137) może twierdzić, jakobym rozmaite objawy obludy i upadku moralnego uważał za wyłączny przywilej Galicyi. Że twierdzenie to jest mylnem, dowodzą następujące miejsca mojej broszury:

„Warunki, w których wychowuje się, wzrasta i żyje „wolny obywatel galicyjski,“ są mniej więcej podobne do warunków życia w innych krajach, nietylko austryackich, ale wogóle europejskich.. “ (str. 11). „Ale obok tych wszystkich „dobrodziejstw cywilizacyi nowoczesnej“ „wolny obywatel galicyjski“ przy wstępie do życia samodzielnego spotyka uświęcony i powszechnie czczony zwyczaj fałszywej fasyi..“ (str. 12). Na takim gruncie *nierównie bujniej*, *niż gdzieindziej* wyrasta cały rój objawów, dla których wspólną nazwą kłamstwo i oszustwo.“ (str. 12).

„A jeżeli tak, to każdy może się mnie słusznie zapytać: „Czegóż się więc nas czepiasz, jeżeli to samo dzieje się w całym świecie „cywilizowanym“? Na to pytanie odpowiem również pytaniem: Czy przez to, że pewna zaraza grasuje także w innych krajach, jesteśmy już zwolnieni od zwracania na nią uwagi we własnym kraju?“ (str. 15—16, odsyłacz).

„Proszę jednak nie myśleć, że, zacietrzewiwszy się „fałszywą fasyą,“ przypisuję powyżej wyliczone objawy etyki pośledniejszego gatunku wyłącznie Galicyi i Galicyanom. O! wcale nie jestem tak zaślepiony. Wiem, że prawie wszystkie te kwiatki dają się uszczknąć także w innych ogródkach; ale za to tam bywają one zwykle oceniane w sposób mniej więcej właściwy. Tylko dzięki dobroczynnemu wpływowi fałszywej fasyi *zwyczajowej* może uchodzić za czyn niemal że obywatelski to, co przez normalną etykę uważane bywa za szpetne i plugawe. Fałszywa fasya jest właśnie ową kropką nad *i*, jest owym pożądanym momentem decydującym, zamieniającym luźną grupę rozmaitych objawów fałszu i obłudy na całkiem stylowy, estetycznie skończony obraz“ (str. 18—19).

Z tego widoczne, że ani „wszelkiego rodzaju niewoli,“ ani „handlarstwa przekonaniami,“ ani „szacherek politycznych,“ ani „nadużycia władzy,“ ani „karyerowiczowstwa,“ ani tem bardziej „prostytucyi“ nie uważam wcale za „kunszt i proceder specyalnie galicyjski,“ ale za objawy ogólnie ludzkie. O „militaryzmie“ zaś „galicyjskim“ lub jakimkolwiek innym niema w mojej broszurze ani jednego słowa. O ile broszurę tę można uważać za „namiętne policzkowanie społeczeństwa,“ niech sądzą ci; co ją istotnie z uwagą przeczytają.

Z tego, że autor „Kroniki krakowskiej“ w nr. 12 *Prawdy* nie zna nawet właściwego tytułu mojej broszury, podstawiając w miejsce niego tytuł: „Fałszywa fasya meralna,“ wnoszę, iż się z nią zapoznał nie osobiście, ale z opowiadania „litościwych (tylko nie dla mnie) Samarytanów.“

Z głębokim szacunkiem

J. Baudouin de Courtenay.

Kraków, 30 marca.

W DALI.

Wilno. *Wilenskij Wiestnik* wydrukował wielce charakterystyczny artykuł. Oto wyjątek z niego: „Gubernia Suwalska sąsiaduje z trzema guberniami kraju północno-zachodniego, czyli z Kowieńską od północy, z Wileńską i Grodzieńską od wschodu, odgraniczona od nich kawałkiem Niemna, i ta granica gub. Suwalskiej z krajem północno-zachodnim wraz ze wszystkiemi wygięciami ciągnie się wiorst 350. Jedynie od południa, na długości wiorst 30—35, gub. Suwalska graniczy z gub. Łomżyńską. Pod względem topograficznym gub. Suwalska jest odbiciem powiatów sąsiednich gub. Kowieńskiej, Wileńskiej i Grodzieńskiej: w większej części jest to ta sama powierzchnia, ta sama obfitość jezior, ta sama gleba. Pod względem etnograficznym gubernia ta również bardziej zbliża się od kraju północno-zachodniego, niż do Priwislinia, gdyż co najmniej 0,9 jej ludności katolickiej stanowią nie Polacy, lecz Litwini, którzy w znacznej części nie poddali się jeszcze polonizacyi, i białorusini, którzy, jeżeli nie wszyscy, to przeważnie (prócz kostiumu i potroszę obyczajów) są spolszczeni zupełnie. Co do gub. Suwalskiej, wypada zrobić jedną jeszcze uwagę: ciążenie jej ludności pod względem ekonomicznym do kraju północno-zachodniego. W gruncie rzeczy gubernia ta jest nie nadwiślańską, lecz nadniemeńską, a Grodno i Kowno mają wielki wpływ ekonomiczny na ludność gub. Suwalskiej, przy zupełnym natomiast braku takiego wpływu ze strony małych i nędznych Suwałk, mających ledwie 20,000 mieszkańców, czyli mniej, niż trzecią część ludności każdego z dwu miast nadniemeńskich powyżej wymienionych. Gub. Suwalska, odłączona do kraju nadwiślańskiego, uparcie dążącego do jej spolszczenia, pod względem wojskowym należy do okręgu wileńskiego, co jest zrozumiałe choćby z kierunku jej linii granicznej.“

Odesa. Gazety odeskie piszą o wyprawie w celach naukowych magnata węgierskiego, szambelana dworu austryjackiego, dr. Eugeniusza Zichy, który obecnie w towarzystwie kilku uczonych węgierskich bawi w Odesie. Wyprawę urządzono celem poszukiwania materyałów, dotyczących historyi Węgier i bytu ich ludności w najodleglejszej epoce. Z Odesy ekspedycya udaje się na Kaukaz, stamtąd do Ufy i na Ural, dla szczegółowego zbadania bytu Baszkirów. Dalej wyznaczono marszrutę przez miasta Syberyi: Omsk, Tomsk, Minusinsk i Irkuck. Z Syberyi uczeni udadzą się do Mongolii i Chin. W wyprawie bierze udział kilku członków muzeum Narodowego w Peszcie.

— Franciszka Borigho, która podczas ostatniego losowania premiówek wygrała 200,000 rs., przeznaczyła połowę tej sumy na budowę drugiego kościoła katolickiego w Odesie.

KRONIKA.

Towarzystwo młodzieży polskiej w Zurichu (Plattenstrasse, „Phönix“) udziela wszelkich informacyj o warunkach wstępu i studyach w uniwersytecie i politechnice.

Wiadomości społeczne. W Petersburgu powstało „Pierwsze Towarzystwo rosyjskie pomocy wszelkiego rodzaju oficyalistów.“

— Elektrotechnik, p. Siewers, ofiarował Towarzystwu elektrotechnicznemu w Petersburgu 1,000 rs. na utworzenie funduszu stypendyalnego, z którego udzielane będą nagrody wynalazcom elektrotechnikom, poddanym rosyjskim.

Prasa. Minister spraw wewnętrznych postanowił zabronić sprzedaży pojedyczych numerów gazety *Głasnost'*.

Szkoły. Komitet budowy politechniki kijowskiej stara się o bezpłatny przewóz materyałów budowlanych i zwolnienie od cła przedmiotów, które trzeba będzie sprowadzić z zagranicy.

— Ministeryum oświaty orzekło, iż uczniowie VI kl. gimnazyów w razie choroby mogą przechodzić do klasy następnej bez egzaminów, oprócz języków starożytnych, z których muszą składać egzamin piśmienny.

— *Nowosti* przypominają, że w Warszawie od r. 1832 istnieje przy uniwersytecie komisya egzaminacyjna do udzielania stopni inżenierów, budowniczych i geometrów. Z powodu powstania politechniki, komisya ta, zdaniem gazety, powinna być albo przekształcona, albo przyłączona do nowego zakładu.

— Ministeryum oświaty uznało za możliwe ażeby osobom, które złożą egzamin do średnich zakładów naukowych, lecz nie będą przyjęte z braku miejsca, wydawać świadectwa ze znajomości kursu klasy poprzedzającej tę, do której złożyli egzamin.

Zdrowie publiczne. *Pet. Wied.* utrzymują, iż wszystkie źródła mineralne będą upaństwowione i przejdą pod zarząd ministeryum dóbr państwa i rolnictwa.

Telefony. Według zapewnień pism petersburskich, ministeryum spraw wewnętrznych przystało na przedłużenie koncesyi Towarzystwu telefonów Bella, pod warunkiem wprowadzenia pewnych zmian do umowy. Za warunek postawiono, ażeby w miastach drugorzędnych (do pierwszorzędnych należy tylko Petersburg i Moskwa), a więc w Warszawie i Łodzi, opłata za abonament telefonów była zrównana z opłatą, pobieraną w miastach, posiadających telefony rządowe, tj. 75 rs. rocznie. Jednocześnie na miejsce aparatów obecnych powinny być wprowadzone systemu szwedzkiego, jako dogodniejsze.

Koleje i komunikacye. Zarząd kolei Syberyjskiej zwinięto. Natomiast w krótce powstanie „zarząd kolei nowobudowanych w państwie.“

— Dn. 7 b. m. przybył z Moskwy do Tomska pierwszy pociąg pospieszny komunikacyi bezpośredniej.

Wystawy i zjazdy. Zamknięto zjazd kierowników szkół przemysłu. Ogółem uczestniczyło w tym wiecu około 120 osób (12 dyrektorów szkół średnich technicznych, 11 dyrektorów szkół niższych, 56 — szkół rzemieślniczych), tudzież delegaci różnych zakładów.

— Ministeryum rolnictwa zamierza urządzać w miastach gubernialnych zjazdy rolnicze celem rozważania potrzeb miejscowych.

— Podczas wyścigów w Pławnie, 24 sierpnia, urządzona będzie wystawa koni wierzchowych, obywatelskich i włościańskich.

Przemysł i handel. Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa postanowiło przenieść zarząd górnictwa z Kielc do Piotrkowa.

— Powstaje wielka spółka, na której czele stoją więksi wytwórcy gubernij południowych. Ma ona na celu handel owocami z Petersburgiem, Moskwą, Kijowem i Warszawą. (*Pet. Wied.*)

— W Kaliszu podczas dorocznego jarmarku na konie zwołano zebranie obywateli ziemskich celem zawiązania i podpisania ustawy spółki rolniczej gub. Kaliskiej. Ustawę wzorową przyjęto w całości, udział zaś każdego spólnika oznaczono na 100 rs., wpisowe na 5 rs. od każdego udziału. Do podziału zysków przyjęto następującą zasadę: najpierw postanowiono strącać 10% na kapitał rezerwowy, z pozostałej zaś reszty 50% na dywidendę, 15% na dodatkowe wynagrodzenie zarządu i urzędników, 35% na premium operacyjne. Ustawę podpisali, jako założyciele: pp. Zygmunt Wyganowski, Mieczysław hr. Kwilecki, Aleksander hr. Toll, Michał Orzechowski, Wacław Kurnatowski, Adolf Werner, Seweryn Tymieniecki, Antoni Siemiątkowski, Michał Białecki, Artur Dzierzbicki, Wacław Niemojewski, dr. Henryk Obrzanowski i Władysław Magnuski.

— Ogłoszony został następujący Ukaz Najwyższy: Uznano za pożyteczne wydać przepisy o wypuszczeniu w obieg monety srebrnej i wyjaśnić, że wszystkie rachunki pieniężne w państwie winny być dokonywane w rublach, równających się 1/15 imperyała, skutkiem czego rozkazano: 1) przy wypuszczeniu monety srebrnej baczyć, aby odpowiednia ilość tej monety, tak pełnej próby (ruble, 50 kop. i 25 kop.), jak zdawkowej (20 kop., 15 kop., 10 kop. i 5 kop.) w obrocie nie była w sumie większej od trzy razy wziętej liczby ludności państwa; 2) określić obowiązek przyjmowania monety srebrnej pełnej próby przez osoby prywatne do rs. 25 przy każdej wypłacie; izby skarbowe zaś i kasy rządowe obowiązane są przyjmować wszelką sumę w tej monecie przy wszystkich wypłatach, oprócz przy opłacie cła i pobieranych na równi z cłami opłat w złocie; przy wypłatach tych dopuszczone jest płacenie srebrem do sumy mniejszej od rs. 5 przy każdej wypłacie; 3) wszelkie dotychczasowe obliczania podatków w rublach srebrem i wszelkie obliczania pieniężne w aktach i wogóle we wszelkich operacyach dokonywać w rublach, równających się 1/15 części imperyała.

Odpowiedzi Redakcyi.

Stałemu prenumeratorowi. Wogóle nie wierzymy, ażeby można było nauczyć się wymawiania dźwięków języka angielskiego z gramatyki, słownika lub „metody." Najsumienniejsza i najdłuższa praca na tej drodze doprowadzi Pana tylko do złudzeń. Dobrym jest słownik angielsko-polski Chodźki, który posiada krótką gramatykę i wskazane wymawianie.

Panu W. O. w Łodzi. Korespondencya Pańska podnosi fakt godny uwagi i oświetla go właściwie, ale nie uwzględnia wymagań *Prawdy* co do formy, która w niej musi być zawsze bardzo staranną. Pod tym tylko warunkiem moglibyśmy korzystać z listów Pańskich.

SPROSTOWANIE. W numerze poprzednim, w „Liberum veto," wiersz 18, zamiast „jeden ze starych," winno być *jeden z wielkich*, a zamiast „jeden dzień"— *dzień dobrze.*

— Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem na mocy odezwy kancelaryi Cesarskiej Akademii sztuk pięknych w Petersburgu, z d. 7 marca r. b. Nr. 739, podaje do wiadomości panów artystów malarzy, że zarząd Stowarzyszenia artystów monachijskich „Künstler Genossenschaft," urządza w Monachium doroczną wystawę w r. 1898, od d. 1 lipca do końca października i zaprasza pragnących przyjąć w niej udział, z nadmienieniem, że deklaracye mogą być nadsyłane do d. 30 kwietnia, dzieła zaś dostarczone być winny w czasie od 10 do 30 kwietnia r. b.

Szczegółowe warunki, szematy i karty dla zaopatrzenia niemi przesyłanych dzieł, znajdują się w kancelaryi Towarzystwa i na żądanie mogą być wydawane osobom interesowanym.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 3 Апрѣля 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.